POLSKA

19 lat

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 16.11.2026
Nr 92 (2603)
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081 • Nr indeksu 349-682



MAGAZYN • STR. 4

Gambit władzy

Kto kogo ogra i wykiwa w tych politycznych szachach?



DZIŚ W NUMERZE

- *Sportowy 24: najciekawsze informacje i analizy ze świata sportu*
- *Pod paragrafem: najstraszniejsze historie kryminalne retro*

www.i.pl

BT/PPG

eprasa.pl 02fa9cb6db

POLECAMY

PIĄTEK: Czy spotkanie Trumpa, Xi Jinpinga i Putina zmieni światowy porządek?

16.11.2026
Poniedziałek

Dziś imieniny: Marka, Edmunda, Małgorzaty
Telefon alarmowy: 112

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Robert Feluś
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Janusz Michalczyk
publicysta



Sex appeal to chińska broń kobieca

O czym rozmawiałeś ze swoją chińską kochanką? - to będzie zapewne jedno z pytań kierowanych przez amerykańskich kongresmenów do Jensena Huanga. Szef Nvidii, potężnej firmy rozdającej karty w dziedzinie sztucznej inteligencji, ma za kilka dni publicznie opowiadać o kulisach szpiegowskiego skandalu. Zdążył już przeprosić w oświadczeniu swoją żonę i dzieci. Gorzej wygląda sprawa z akcjonariuszami, bo ich grupa pozwała go do sądu za ukrywanie romansu, co miało wpływ na kurs giełdowy. Ten zresztą od kilku dni pikuje i wycena Nvidii obniżyła się o ciężkie miliardy dolarów.

Bałagan mógł być jeszcze większy, bo pojawiły się informacje o innych romansach Jensena, ale podał się on do dymisji na zwołanym w trybie nagłym posiedzeniu zarządu. Na przesłuchanie do Kongresu pomaszeruje zatem jako były prezes. W tej historii zabawne jest to, że Huang to chińskie nazwisko, bo Jensen urodził się na Tajwanie. Jego chińska kochanka, podejrzewana o szpiegostwo, też nazywa się Huang. To taka zbieżność jak z Kowalskimi czy Nowakami. Podejrzliwi żurnaliści skojarzyli, że żony kilku szefów amerykańskich koncernów technologicznych, m.in. założyciela Facebooka, mają chińskie korzenie.

Nie chciałbym iść za daleko, lecz trochę wygląda na to, że faceci o niemal boskim statusie, uchodzący za geniuszy biznesu, podskakują jak marionetki w przedstawieniu wymyślonym w Pekinie. „Sex appeal to nasza broń kobieca" - brzmią słowa polskiego szlagieru sprzed niemal stu lat. Pasują jak ulał do postaci szpiega w spódnicy, dobrze znanej z kart historii. Żyjemy w zaawansowanej technologicznie cywilizacji, ale w relacjach męsko-damskich nadal rządzą pierwotne instynkty. I dla niektórych problemem jest utrzymanie zamkniętego rozporka.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską"

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Maciej Sandecki
publicysta



Czy Tusk z Nawrockim podzielą się opłatkiem?

Premier Donald Tusk w Święto Niepodległości zaprosił prezydenta RP Karola Nawrockiego do swojego mieszkania w Sopocie. Zaproszenie Tuska wielu komentatorów oceniło od razu jako PR-owy zabieg, polityczną zagrywkę, a rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz nazwał wprost - „nieszczerym gestem o charakterze politycznym". I chyba niewiele jest w Polsce osób, które na serio liczą na to, że premier i prezydent naprawdę spotkają się w mieszkaniu Tuska w Sopocie z rodzinami i podzielą się opłatkiem. Już samo wyobrażenie sobie takiego spotkania wywołuje u wielu z nas albo uśmiech niedowierzania i politowania, albo odwrotnie - wściekłości.

W święto 11 listopada, gdy Donald Tusk wypowiadał te słowa, Karol Nawrocki szedł na czele Marszu Niepodległości, organizowanego od lat przez środowiska skrajnie prawicowe, który miał w tym roku antyrządowy charakter. Jak donosiły media, najczęściej wznoszonym hasłem podczas tej manifestacji było „J...ć Tuska". I na czele takiego marszu kroczył prezydent.

Nie napiszę nic odkrywczego, stwierdzając, że polaryzacja polityczna w Polsce jest dziś ogromna, bo stan ten utrzymuje się w naszym kraju od wielu lat i jest ciągle podsycany przez polityków. Przez tę polaryzację mamy od lat podzielone społeczeństwo, skłócone rodziny i olbrzymi hejt w internecie. Podział poszedł tak daleko, że funkcjonujemy jako społeczeństwo jakby w dwóch alternatywnych rzeczywistościach, w dwóch różnych bańkach medialnych, a nawet interpretacjach prawnych. Podział jest silny, trwa ponad 20 lat i wyrosło już pokolenie, które nie zna innej Polski niż spolaryzowana do granic dzisiejszych emocji. temu byłem gościem w mieszkaniu Donalda Tuska i to w dniu, w którym ta polaryzacja się dla mnie symbolicznie zaczęła. Był 2005 rok, Donald Tusk kandydował na prezydenta, jego rywalem był Lech Kaczyński, a ja zawitałem w domu Tusków, żeby zrobić wywiad z Małgorzatą Tusk, która mogła wtedy zostać pierwszą damą. Rozmawiamy, a tu nagle wychodzi z pokoju pan Donald z gazetą i mówi do mnie: „niech pan zobaczy co o moim dziadku napisał Jacek Kurski. Chyba muszę go za to podać do sądu". Po tej głośnej publikacji „o dziadku z Wehrmachtu", Lech Kaczyński przeprosił Donalda Tuska i wywalił Jacka Kurskiego z PiS. Później, już po wyborach, gdy Lech Kaczyński został prezydentem, a dwa lata później Donald Tusk premierem, panowie wiele razy spotykali się towarzysko i z rodzinami. Głośno było szczególnie o jednym ich spotkaniu, podczas którego podobno wypili kilka butelek win. I nie było w tym nic dziwnego! Prezydent i premier z dwóch rywalizujących obozów mogli się tak spotykać. A działo się to przed katastrofą smoleńską i przed TVPiS Kurskiego, która już bez żadnych hamulców, przez osiem lat robiła z Tuska Niemca.

Przypominam to dla potomnych, którzy nie znają innej Polski niż podzielonej i dla nas wszystkich, dla których wyobrażenie sobie Nawrockiego i Tuska, siedzących przy stole i dzielących się opłatkiem, wydaje się taką samą magią, jak zwierzęta mówiące ludzkim głosem. Choć pewnie milion Polek i Polaków z obu zwaśnionych obozów, taki obrazek chciałoby zobaczyć na święta.

KRÓTKO

Warszawa

Zdewastowano dwa pomniki

Policja poszukuje sprawców dewastacji dwóch stołecznych pomników, na których pojawiły się napisy:„Slava UPA". Napis wymalowano na pomnikach: Bohaterów Getta przy Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN i Żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego na Skwerze Więźniów Politycznych Stalinizmu. Wcześniej takiej dewastacji dokonano m.in. w Gdańsku. Akt wandalizmu potępiła ambasada Ukrainy w Polsce, oceniając go jako przejaw wojny hybrydowej. PAP

Kraków

Dorożkarze wrócili na Rynek Główny

Dorożkarze wrócili w sobotę do pracy na Rynek Główny w Krakowie. Jeden z nich, Eryk Nęcek, powiedział, że towarzyszy im strach, ból, złość, ale i nadzieja, że z tej tragedii uda się podnieść. 7 listopada w strzelaninie na Rynku Głównym rannych zostało czworo dorożkarzy. Troje z nich odniosło poważne obrażenia - jeden opuścił już szpital. Zwierzęta, które ucierpiały w ataku, pozostają pod opieką weterynaryjną - mają powierzchowne rany. PAP

Ukraina

Starshield znów wolniejszy

Wiele uderzeń rosyjskich dronów w podstacje energetyczne w Ukrainie wynika z ograniczeń prędkości nałożonych na system Starshield w pobliżu frontu i na terenach okupowanych przez Rosję - przekazał w niedzielę ukraiński prezydent Wołodymyr Zełenski. Jak dodał, Ukraina liczy na zniesienie tych ograniczeń. Zełenski polecił zespołom ścisłą współpracę ze stroną amerykańską i firmą SpaceX, do której należy Starshield, czyli wojskowa wersja Starlinka. PAP

eprasa.pl 02fa9cb6db

POLITYKA

Trzy mocarstwa, trzy różne cele

Planowane spotkanie przywódców USA, Rosji i Chin może być politycznym spektaklem, ale budzi też obawy przed nowym podziałem świata na strefy wpływów – oceniają zagraniczne media

oprac. Karolina Wrońska

Trzej przywódcy mają spotkać się w czwartek w chińskim Shenzhen na koniec szczytu Wspólnoty Gospodarczej Azji i Pacyfiku (APEC). Będzie to pierwsze takie spotkanie liderów trzech największych mocarstw nuklearnych.

Reuters ocenia, że szanse na przełom są niewielkie, ponieważ każdy z uczestników ma inne cele. Putin liczy na zakończenie wojny w Ukrainie na warunkach korzystnych dla Moskwy. Trump, osłabiony porażką Republikanów w wyborach do Kongresu, szuka historycznego sukcesu dyplomatycznego, przede wszystkim porozumienia o kontroli zbrojeń nuklearnych. Dla Xi spotkanie jest natomiast pełne ryzyka – twierdzi Reuters.

Chiny nie chcą bowiem negocjować ograniczenia swojego arsenału jądrowego, znacznie mniejszego niż amerykański i rosyjski. Chińczycy nienawidzą tego tematu – powiedział



FOT. NATASSEBENDIER/AFP/EAST NEWS

Donald Trump, Władimir Putin i Xi Jinping mają różne cele i komentatorzy nie są zgodni co do tego, kto zyska najwięcej

Reutersowi Edgard Kagan z ośrodka Center for Strategic and International Studies, tłumacząc, że Pekin nie zamierza przyjmować na siebie takich samych ograniczeń jak dwa pozostałe mocarstwa.

Associated Press zwraca uwagę, że dla Putina samo spotkanie jest sukcesem, ponieważ pozwala mu zaprezentować Rosję jako supermocarstwo równorzędne USA i Chinom. Z kolei Xi może wykorzystać je do pokazania rosnącej potęgi Chin, choć udział w rozmowach trzech mocarstw stoi w sprzeczności z chińską narracją o obronie multilateralizmu i interesów mniejszych państw. „To pokazuje, kto jest ważny na świecie: my, Chiny i Zachód" – powiedział w tym tygodniu rosyjski ideolog nacjonalistyczny Aleksandr Dugin w Radiu Sputnik. We fragmencie przytoczonym przez AP uznał spotkanie za symboliczne potwierdzenie wielobiegunowego porządku światowego.

Zdaniem Ryana Hassa z amerykańskiego Brookings Institution Putin odniesie sukces już przez sam udział w spotkaniu, ale dla Trumpa ryzyko jest znacznie większe – może zostać przechytrzony przez lepiej przygotowanych rozmówców, a samo spotkanie wzbudzi niepokój amerykańskich sojuszników.

Jonathan Czin z Brookings Institution zwraca uwagę na jeszcze jedną słabość Trumpa: czas. Amerykańskiemu prezydentowi pozostało nieco ponad dwa lata urzędowania, podczas gdy Putin i Xi mogą planować swoją politykę na całe dekady. Zdaniem eksperta obaj przywódcy mogą uznać, że nie warto zawierać z Trumpem porozumień, skoro jego następca może zaoferować im więcej.

„Guardian" z kolei zauważa, że Putin od dawna marzy o powtórzeniu konferencji jałtańskiej z 1945 r., podczas której przywódcy USA, Wielkiej Brytanii i ZSRR decydowali o powojennym porządku w Europie. Według dziennika rosyjski prezydent chciałby, by spotkanie w Shenzhen zapoczątkowało serię rozmów, podczas których mocarstwa ustanowią nowy porządek bezpieczeństwa oparty na strefach wpływów, a nie liberalnych wartościach.

Brytyjski dziennik podkreśla jednak, że Chiny niekoniecznie podzielają rosyjskie ambicje. Pekin nie chce ani zdradzić Putina, ani poprzeć rozwiązania dotyczącego Ukrainy bez zgody Europy, z którą próbuje poprawić stosunki. Może natomiast pomóc Trumpowi w zakończeniu wojny z Iranem. PAP

REKLAMA 0011602685



eprasa.pl 02fa9cb6db

POLITYKA

Polityczny gambit, czyli kto kogo wykiwa w tej rozgrywce

Relacje między dużym i małym pałacem przypominają grę w szachy, chociaż ostatnio graczom brakuje finezji. Konflikt prezydenta z rządem trwa właściwie od dnia zaprzysiężenia Karola Nawrockiego, tyle, że dzisiaj nikt już nie udaje, że możliwy jest jakikolwiek kompromis

Dorota Kowalska

Karol Nawrocki robi wszystko, żeby utrudnić pracę rządowi Donalda Tuska. Zawetował już prawie 50 ustaw, przy każdej możliwej okazji atakuje premiera lub poszczególnych ministrów. Chemii między dużym i małym pałacem nie ma, jest otwarta wojna.



FOT. TADAM JANKOWSKI

Premier Donald Tusk już zapowiedział, że nie pojawi się w poniedziałek na spotkaniu ws. trybunału

Spór trybunał Konstytucyjny

Ostatnio sytuację zaostrzyło wejście do Trybunału Konstytucyjnego ośmiu sędziów wybranych przez obecny parlament. Prezydent od pięciu z nich nie odebrał ślubowania – chociaż zobowiązuje go do tego Konstytucja - więc ci złożyli je „przed prezydentem", ale w Sejmie. Tyle, że jako sędziów TK nie uznawali ich ani prezydent ani opozycja ani prezes TK - Bogdan Święczkowski. Ten drugi nie dopuszczał nowych sędziów do orzekania, więc prace Trybunału zostały praktycznie sparaliżowane. Do TK udał się więc Karol Nawrocki, który próbuje robić wszystko, żeby wróciło „stare". Póki co, nie wróciło. Sędzia Anna Korwin-Piotrowska, która przejęła kierownictwo nad Trybunałem Konstytucyjnym zwołała dwa kolejne Zgromadzenie Ogólne sędziów TK.

Na pierwszym sędziowie przyjęli plan budżetowy Trybunału na przyszły rok. W spotkaniu uczestniczyło ośmiu sędziów wybranych przez Sejm bieżącej kadencji. Ustalono, że osób uprawnionych do wzięcia udziału w zgromadzeniu jest dwanaście, bo prezes Święczkowski i wiceprezes Sochański zostali przez Annę Korwin-Piotrowską zawieszeni, a jednego z sędziów uznano za dublera. Tak więc, zdaniem nowych sędziów, liczba obecnych na zgromadzeniu spełnia kworum czyli co najmniej dwie trzecie ogólnej liczby sędziów Trybunału. Trzeba w tym miejscu dodać, że nie wszyscy prawnicy się z tą opinią zgadzają.

Jeszcze przed zgromadzeniem Bogdan Święczkowski oświadczył, że „razem z legalnymi sędziami" TK ustalili, iż nie będą brali udziału w wydarzeniach organizowanych przez – jak stwierdził – „sędziów uzurpatorów".

Również szef KPRP Zbigniew Bogucki podkreślał, że właściwe Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK może zwołać jedynie prezes TK.

Sędzia Korwin-Piotrowska specjalnie się tymi opiniami nie przejęła, podobnie jak decyzją Sądu Najwyższy, w tym Izby Odpowiedzialności Zawodowej, który uchylił zarządzenia o zawieszeniu prezesa i wiceprezesa TK.

Premier Donald Tusk ogłosił, że Trybunał Konstytucyjny rozpoczął pracę i w końcu jest prawidłowo obsadzony. Zapowiedział też przed posiedzeniem Rady

Ministrów, że „z czystym sumieniem" i po raz pierwszy od lat podejmie decyzję o ogłoszeniu dokumentu TK, nazywając ten moment „początkiem nowej ery". Wieczorem 10 listopada Monitor Polski opublikował uchwałę Zgromadzenia Ogólnego Sędziów TK zmieniającą regulamin Trybunału.

Druga strona nie przyjmuje tych zmian do wiadomości, najczęściej określając je mianem „zamachu staniu". Karol Nawrocki zaprosił do Pałacu Prezydenckiego na poniedziałek, 16 listopada, przedstawicieli wszystkich klubów i kół parlamentarnych, aby dyskutować o „uzdrowieniu TK", ale nie wszyscy się do Belwederu wybierają. Wiadomo już, że Lewica nie weźmie udziału w poniedziałkowym spotkaniu. Anna Maria Żukowska powiedziała w Radiu Zet, że skontaktowała się z członkami prezydium klubu i stanowisko ugrupowania się nie zmieniło. Jako powód tej nieobecności wskazała między innymi wcześniejsze słowa prezydenta dotyczące Anny Korwin-Piotrowskiej, który nazwał sędzię „panią dwojga nazwisk". Nie wiadomo też, jak zachowa się Koalicja Obywatelska, ale wiele wskazuje na to, że na spotkaniu nie pojawi się żaden z jej przedstawicieli.

Zaproszenia odrzucone

Obchody Święta Niepodległości też podgrzały atmosferę. Karol Nawrocki podczas swego przemówienia zaatakował - jak to ma w zwyczaju - rząd, a przede wszystkim ministra finansów Andrzej Domańskiego, w którego obronie stanął występujący po prezydencie szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. Wystąpienie Karola Nawrockiego - konfrontacyjne, agresywne - wywołało w sieci burzę. Politycy obozu rządzącego pisali, że prezydent „nie potrafił odróżnić święta od konwencji partyjnej", że atakuje rząd i stan finansów publicznych, a zawetował blisko 50 ustaw, w tym te zwiększające dochody budżetu państwa, że „zamiast jednoczyć Polaków w Święto Niepodległości, robi z niego wiec polityczny".

„Chociaż w tym jednym dniu mógł próbować Polaków nie dzielić, a łączyć. Szkoda" – napisał premier Donald Tusk.

Karol Nawrocki przemawiał po wystąpieniu Donalda Tuska, który spędził Narodowe Święto Niepodległości w Szczecinie. I wyszedł tam z pewną propozycją do Karola Nawrockiego. Zaprosił do swojego mieszkania w Sopocie prezydenta wraz rodziną.

- Panie prezydencie, mieliśmy się spotkać. Trochę czekałem na to zaproszenie, ale od serca, nie czekając dłużej, chcę zaprosić pana, razem z małżonką, z rodziną, dziećmi do mnie do domu w Sopocie – powiedział premier nawiązując do planowanego spotkania w cztery oczy – prezydenta z premierem zapowiadanego po Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, z którego Nawrocki się wycofał.

Donald Tusk dodał, że „Polska warta jest naszej rozmowy".

Wystąpienie Nawrockiego było swoistą odpowiedzią na te słowa, oficjalne stanowisko Pałacu Prezydenckiego pojawiło się chwilę później.

- Każdy, kto zna Donalda Tuska, doskonale wie, że to jest element jego gierek politycznych, które regularnie uprawia. Nie siada się do jednego stołu z człowiekiem, który złamał Konstytucję, który prowadzi uzurpatorów do Trybunału Konstytucyjnego - mówił Rafał Leśkiewicz, rzecznik Karola Nawrockiego w „Tłicie" w Wirtualnej Polsce.

Stwierdził też, że prezydent jest gotowy na spotkanie, ale stawia dwa warunki: wycofanie policji z Trybunału Konstytucyjnego i umożliwienie wejścia do Trybunału sędziom, „którzy mają tam prawo przebywać, bo są sędziami Trybunału".

Kolejne weta prezydenta

Wiadomo, że premier i strona rządowa nie zamierzają spełniać tych warunków, prezydent użył więc swojej ulubionej broni i w piątek, po raz drugi, zawetował ustawę wdrażającą Akt o usługach cyfrowych (DSA), która miała pozwolić na blokowanie nielegalnych treści w internecie.

Jak wyjaśnił w specjalnym nagraniu, rolą urzędnika nie „jest ferowanie wyroków o tym, czy dana treść była przestępstwem czy nie".

- Rząd postanowił w sposób karygodny wykorzystać do tego serię tragicznych ataków nożowników w polskich szkołach. Połączono te dwa tematy argumentując, że brak krajowych przepisów o blokowaniu treści utrudnia służbom działania – stwierdził Karol Nawrocki.

Jak dodał, „co ciekawe, w kolejnych dniach aktywnie działano, wyszukiwano i ograniczano takie treści przy pomocy już istniejących przepisów".

- To było kolejne kłamstwo. Wykorzystano tragedię. Zastosowano szantaż emocjonalny, żeby przepchnąć przepisy, które dają rządowi w zasadzie arbitralną kontrolę i możliwość decydowania o tym, co możemy, a czego nie możemy mówić, pisać czy publikować - powiedział.

Ustawę o blokowaniu nielegalnych treści w internecie Sejm przyjął na początku października. Celem zmian miało być wprowadzenie procedury, dzięki której możliwe będzie szybkie wydawanie nakazów ograniczających dostęp do treści naruszających prawo w internecie, przy jednoczesnym poszanowaniu praw użytkowników sieci.

W czwartek przed Pałacem Prezydenckim minister cyfryzacji, Krzysztof Gawkowski, apelował do prezydenta o podpisanie ustawy.

- Ustawa o bezpieczeństwie w internecie jest o tym, czy chcemy, żeby ktoś mógł komuś w internecie grozić śmiercią. Ustawa o bezpieczeństwie w internecie jest o tym, czy pozwalamy na hejt i nienawiść, na radykalizmy w internecie – mówił Gawkowski podczas briefingu prasowego.

Bez nowych przepisów prezes Urzędu Komunikacji Elektronicznej nie może realizować swojego najważniejszego w świetle DSA zadania, jakim jest

blokowanie nielegalnych treści w internecie. Z prowadzonego przez KE rejestru takich koordynatorów w państwach członkowskich wynika, że Polska jest jedynym krajem unijnym, który nie posiada właściwego koordynatora.

- Stawiam panu prezydentowi publiczny akt oskarżenia, że bierze osobistą odpowiedzialność za każde skrzywdzone dziecko - powiedział po wecie Karola Nawrockiego minister Gawkowski. Inni politycy koalicji rządzącej wypowiadali się w podobnym tonie.

„Z prezydenckiego weta zadowoleni są hejterzy, rosyjskie farmy trolli, pedofile, ekstremalni nihiliści i lobbyści. Ofiarami tego weta są polskie dzieci, rodzice, bezpieczeństwo wszystkich obywateli. Tego nie da się w żaden sposób usprawiedliwić" - napisał w sobotę na platformie X Donald Tusk.

Cóż, końca wojny między dużym i małym pałacem nie widać. Ale, jak wynika z badań to wojna, której Polacy mają już najzwyczajniej w świecie dość, bo to my wszyscy ponosimy jej konsekwencje. PAP

eprasa.pl 02fa9cb6db

PUBLICYSTYKA



FOT. PAP/ŁUKASZ GĄGULSKI

Jeżeli chcemy zrozumieć, co doprowadziło do tragedii, powinniśmy przyjrzeć się przede wszystkim internetowemu życiu sprawcy

Niepokojące nagrania po tragedii w Krakowie. Niebezpieczna nisza gloryfikuje zbrodnie

Sześć ofiar śmiertelnych, 16 osób rannych i dramat, który rozegrał się na oczach mieszkańców i turystów. Strzelanina na Rynku Głównym w Krakowie wstrząsnęła Polską. Można było jednak przewidzieć, że jej skutki nie zakończą się na działaniach policji, pracy prokuratorów i żałobie rodzin ofiar. Kolejny niepokojący rozdział tej historii rozgrywa się w internecie. I jest coraz bardziej przerażający

Michał Perzanowski

W mediach społecznościowych zaczęły pojawiać się materiały, które trudno uznać za wynikające ze zwykłej ciekawość i zainteresowania tragicznym wydarzeniem. Niektóre konta nie tylko publikują informacje o sprawcy, ale wręcz go gloryfikują. Postać uzbrojonego mężczyzny (nie sprawcy) trafia do montażów generowanych przez sztuczną inteligencję. Towarzyszą mu czaszki, charakterystyczne oznaczenia i hasła związane z masowymi atakami. To zjawisko, którego nie wolno bagatelizować.

Gloryfikowanie zbrodni

Jednym ze środowisk, w których można znaleźć takie treści, jest True Crime Community (TCC). To internetowa społeczność skupiająca osoby zainteresowane prawdziwymi zbrodniami. Jej członkowie śledzą głośne sprawy kryminalne, analizują materiały śledcze i interesują się sprawcami oraz okolicznościami przestępstw.

W najbardziej skrajnych grupach zainteresowanie zbrodniami przeradza się jednak w fascynację ich sprawcami. Osoby odpowiedzialne za masowe ataki stają się tam wręcz obiektami kultu. Ich zdjęcia i historie trafiają do internetowych montaży. Po strzelaninie w Krakowie szczególnie niepokojące są materiały takie, ten, na którym pojawiają się symbole czaszek, liczba „-5” (stan liczby ofiar na sobotnie popołudnie) i hashtag #rampage. Uzbrojony mężczyzna tańczy do niepokojąco brzmiącej muzyki.

Nie są to zwykłe internetowe żarty. Takie oznaczenia pomagają w budowaniu popularności sprawcy i przedstawiać jego czyny jako coś godnego naśladowania.

„Rampage” to gwałtowny atak lub seria aktów przemocy. To także tytuł filmu Uwe Bolla z 2009 roku. Opowiada historię młodego mężczyzny przygotowującego się do masowego ataku. Zakłada on specjalną zbroję ochronną, uzbraja się i rozpoczyna strzelaninę w swoim mieście.

Hashtag #rampage pojawia się również przy materiałach publikowanych przez osoby związane z TCC. Wystarczy przejrzeć media społecznościowe, by znaleźć kolejne tzw. „edity”, czyli krótkie, dynamiczne montaże.

TikTok podsuwa treści

Niepokoi również to, w jaki sposób takie materiały trafiają do użytkowników. Nie trzeba szukać skrajnych grup ani wpisywać specjalnych haseł. Czasami wystarczy po prostu korzystać z aplikacji.

TikTok dobiera kolejne filmy na podstawie aktywności użytkownika. Analizuje, jakie materiały ogląda, komentuje i udostępnia. Następnie proponuje mu kolejne nagrania. W efekcie użytkownik zamyka się w bańce, wpada do „króliczej nory” i... wtedy dochodzi do radykalizacji. Przerażającej.

Po tragedii w Krakowie pojawiły się relacje osób, które twierdziły, że TikTok sam proponował nastolatkom niepokojące nagrania, m.in. związane z grupą 764. To międzynarodowa sieć internetowych nihilistów i ekstremistów, która werbuje, manipuluje i szantażuje dzieci oraz nastolatków.

Jedna z użytkowniczek portalu X opisała eksperyment przeprowadzony na nowym koncie. Założyła je z wykorzystaniem VPN i ustawiła lokalizację na Warszawę. Już po 40 sekundach zaczęła otrzymywać treści prowadzące do skrajnych społeczności internetowych. Wśród nich znalazły się kanały na Telegramie związane z przemocą i jej odgrywaniem.

Aby wpaść do „króliczej nory”, wiele nie trzeba. Ciekawych wniosków dostarcza publikacja naukowa „Intelligent Systems, Vulnerable Minds: A Framework for Radicalization to Violence in the Age of AI” w czasopiśmie Personality and Social Psychology Review.

Badacze opisują, jak internetowa bańka może sprzyjać radykalizacji:

1. Wszystko może zacząć się od zwykłej ciekawości i obejrzenia pojedynczego nagrania.

2. Później algorytmy podsuwają użytkownikowi kolejne podobne materiały.

3. Jeśli regularnie widzi filmy, w których sprawcy przemocy są chwaleni, a ich zachowanie usprawiedliwiane, może stopniowo uznać takie treści za normalne.

4. Z czasem coraz rzadziej trafia na opinie, które podważają ten sposób myślenia.

5. Kolejnym krokiem może być dołączenie do internetowej społeczności, która podziela takie poglądy.

6. Użytkownik otrzymuje tam akceptację i utwierdza się w swoich przekonaniach.

W skrajnych przypadkach może to prowadzić do uznania przemocy za dopuszczalny sposób działania.

Czego rząd nie rozumie w sieci?

Mam wrażenie, że wiele osób próbuje oceniać sprawcę wyłącznie przez pryzmat polityki. Tymczasem możemy mieć do czynienia z pokoleniem, które zupełnie inaczej korzysta z symboli i rozumie internetowy humor.

Dla młodych ludzi prowokacja, chaos i absurd często są celem samym w sobie. Zdjęcie z określoną flagą nie musi oznaczać utożsamiania się z daną społecznością. Nazistowskie gesty nie zawsze świadczą o fascynacji Hitlerem, a żarty z papieża nie muszą oznaczać walki z religią. Często chodzi o szokowanie, przekraczanie granic i wywoływanie reakcji. Nie oznacza to, że takie zachowania są nieszkodliwe. Trzeba jednak uważać, by nie przypisywać im znaczenia, którego wcale nie muszą mieć.

Jeżeli chcemy zrozumieć, co doprowadziło do tragedii, powinniśmy przyjrzeć się przede wszystkim internetowemu życiu sprawcy. Tam mogą znajdować się wskazówki dotyczące jego zainteresowań, sposobu myślenia i kontaktów. Problem w tym, że internetowe treści często szybko znikają, a część komunikacji odbywa się w miejscach, których starsze pokolenia po prostu nie znają.

Nie dajmy się też wciągnąć w polityczną przepychankę. Politycy będą wyciągać kolejne zdjęcia i wpisy, żeby udowodnić swoje racje. Ale pojedyncza fotografia czy prowokacyjny post nie wystarczą do wyjaśnienia kim był sprawca i dlaczego doszło do tragedii.

Warto również pamiętać, że próba zrozumienia mechanizmów prowadzących do przemocy nie oznacza usprawiedliwiania sprawcy. To zupełnie różne rzeczy. Nie znamy wszystkich okoliczności ani motywów. Możemy jednak próbować ustalić co sprawia, że młody człowiek dochodzi do punktu, w którym życie innych ludzi przestaje mieć dla niego jakiekolwiek znaczenie.

I to właśnie tutaj zaczyna się odpowiedzialność mediów społecznościowych. Żyjemy w czasach, w których one, zamiast zbliżać ludzi, często pogłębiają ich samotność i poczucie wyobcowania. A to może sprawiać, że coraz więcej osób będzie szukać akceptacji w niebezpiecznych internetowych społecznościach. Tu powinna rozpocząć się dyskusja o tym, jak reagować wcześnie, już na etapie tego typu treści.

Najpierw „krwawy piątek”, teraz Kraków

Podobne zjawiska już pojawiły się w polskim internecie. Niedawno popularność zdobywały określenia związane z tzw. „krwawym piątkiem” po atakach na uczniów i pracowników szkół w województwie mazowieckim. Tu wkraczamy w dystopijny wątek mediów społecznościowych, które „nakręcają” użytkowników takich platform, jak TikTok. Zdarzenia, które powinny budzić strach i niepokój, zaczynają funkcjonować jako internetowe trendy.

Po strzelaninie w Krakowie widać jeszcze poważniejszy problem. Część użytkowników nie tylko rozpowszechnia informacje o napastniku, ale próbuje zrobić z niego internetową postać godną uwagi i podziwu. Zaciera się więc granica między prawdziwymi tragediami a internetową rozrywką. I to może być jeszcze bardziej przerażające, gdy pomyśli się o kolejnych skutkach.

Czy bez sensu jest nagłaśniać ów trend i o nim mówić? To może spowodować jego jeszcze większą popularność. A może właśnie trzeba rozpocząć publicznie i głośno mówić o tym, na jakie „chore gów*o” trafiają codziennie młodzi ludzie w sieci i jak szybko ulegają tym wpływom?

eprasa.pl 02fa9cb6db

ROZMOWA

Profesor Paweł Kowal: Nie odpowiadamy krzykiem na krzyk, agresją na agresję

Z Pawłem Kowalem, przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych oraz liderem podkarpackich struktur Koalicji Obywatelskiej, rozmawiamy o sporze wokół Trybunału Konstytucyjnego, relacjach z Ukrainą, dezinformacji, jako narzędziu walki politycznej i rosnącej agresji w życiu publicznym

Andrzej Pl ęs

Tragiczne wydarzenia ostatniej soboty w Krakowie sprawiły, że na dalszy plan uwagi społecznej zeszły spory dotyczące kontrowersji wokół Trybunału Konstytucyjnego. W ostatnich tygodniach także Podkarpacie stało się areną politycznych demonstracji związanych z tym sporem. PiS i Konfederacja organizują protesty, marsze i happeningi, Koalicja Obywatelska nie odpowiada podobnymi działaniami. To świadoma strategia czy błąd zaniechania?

Najpierw dwa słowa o Krakowie, który jest dla mnie drugim miastem po Rzeszowie. Jestem pewien, że wkraczamy w nową epokę, w której przygotowanie nas wszystkich na sytuacje ekstremalne musi dotyczyć także zwykłych, codziennych sytuacji. Kraków został zaatakowany w takim miejscu, które daje poczucie pełnego bezpieczeństwa, na krakowskim Rynku chyba wszyscy czuli się jak u siebie w domu, a stało się miejscem śmierci wielu osób. To przez długi czas nie wyjdzie nam z głów. I muszę podkreślić wielką postawę doktora Mateusza Wierdaka, który związany jest z naszym regionem, pochodzi z Krosna. Pokazał klasę, hart ducha, kiedy trzeba było pomóc rannemu policjantowi. Trzeba pokazać publicznie jego rolę, jako wzór do naśladowania i za to mu podziękować. A wracając do pytania: my zorganizowaliśmy duże spotkania tuż po Wszystkich Świętych, na które przyszło wiele osób. Jednak nasza strategia jest taka, by nie prowadzić tego sporu na ulicach, nie eskalować. Przekonałem się o słuszności takich założeń podczas prowadzenia kwesty na Pobitnem, kiedy podeszła do mnie pani i powiedziała: oni wiozą ludzi do Warszawy po to, żeby marzli, a Kaczyński z Braunem wpadają na chwilę, żeby zrobić sobie selfie przed Trybunałem Konstytucyjnym. Nie widzę sensu w blokowaniu urzędów, udziału w tym szaleństwie PiS i braunistów, którzy z sobą konkurują.

Nie pytałem wyłącznie o „głos ulicy", który może być socjotechnicznie inspirowany. Stanowisko wobec zdarzeń dotyczących TK zajął przed tygodniem uchwałą Sejmik wojewódzki. To coś znacznie więcej niż skandowane na ulicy hasła.

Od dawna mówię, że marszałek Ortyl bawi się w krajową politykę, zamiast pilnować spraw województwa, bo czuje się pewnie, że nikt tu nie może mu zabrać władzy. My całkowicie kwestionujemy zwołanie tej nadzwyczajnej sesji Sejmiku, uważam za skandaliczne angażowanie go w ten spór i interesiki polityczne PiS, które dziś głównie polegają na tym, by konkurować wewnątrz tego obozu pisowsko-braunowsko-faszystowskiego, kto w nim zdobędzie palmę pierwszeństwa. Nie byłoby sporu wokół trybunału, gdyby prezydent uznał wybór Sejmu, co jest kolejnym elementem polityki prezydenta, żeby nie uznawać ambasadorów, kombinować przy nominacjach profesorskich, nominacjach generalskich, oficerskich, czyli – wszystko co dotychczas nawet za prezydenta Dudy uważane było za jakąś normę, dzisiaj jest podważane przez prezydenta Nawrockiego. A marszałek Ortyl wciąga w to Podkarpackie. Już w ubiegłym roku wkręcił w CPAC i Zondacrypto.

Proponowana przez pana strategia może być podyktowana szlachetnymi pobudkami, ale przedwyborczo może być kontrproduktywna, bo do świadomości wyborców przebija się jednak narracja państwa rywali politycznych. To oni postrzegani są jako aktywni, energiczni, sprawczy.

W czasie gdy oni organizują manifestacje, my rozmawiamy z samorządami o nowych inwestycjach, pozyskujemy środki dla gmin, pracujemy nad projektami sportowymi czy infrastrukturalnymi. Kiedy my otwieraliśmy w sobotę nowy stadion w Rzeszowie, a chodzi też o dziesiątki orlików i środków przekazanych dla Podkarpacia, oni stali grupką przed urzędem wojewódzkim i atakowali panią wojewodę. Szczerze myślę, że nasza strategia okaże się dużo bardziej efektywna. Weźmy pod uwagę wspomnianą sobotę: dzień zaczęliśmy od spotkania z samorządowcami, z każdym omówiliśmy możliwości tworzenia nowych obiektów sportowych, wsparcia ministerstwa, Totalizatora Sportowego, a skończyliśmy na najlepszym stadionie lekkoatletycznym w Polsce. To zaprzecza opiniom o naszej małej aktywności, wręcz przeciwnie: wybraliśmy drogę realnego kontaktu z ludźmi i rozwiązywania problemów i brakuje czasu na to, by wydzierać się na ulicy. Jestem przekonany, że ta strategia jest lepsza dla nas, a przede wszystkim dla regionu. My ten tydzień spożytkowaliśmy dla mieszkańców Podkarpacia, oni spędzili tydzień na wydzieraniu się przed urzędem wojewódzkim. My w „darciu ryja" ich nie prześcigniemy.

To chyba nie przeszkadza, by „drąc ryja" manifestować swoje sukcesy w pozyskiwaniu funduszy na inwestycje w regionie, efektów wsparcia dla lokalnych i regionalnych przedsiębiorców i działań na rzecz rozwoju Podkarpacia. Tak w ramach kampanii przedwyborczej, która chyba już się toczy. Nie wystarczy to wszystka robić, trzeba umieć taką narrację przekazać odbiorcom.

Czasem docieramy przez przekazywanie gazetek, jak w Stalowej Woli, ja teraz poświęcam każdą wolną chwilę na objeżdżanie regionu i spotkania z mieszkańcami, korzystam z każdego zaproszenia, często sam takie spotkania inicjuję. Plus przekaz w mediach społecznościowych, plus informacja wszędzie, gdzie jesteśmy. Mam nadzieje, że ten rok do wyborów dobrze wykorzystamy, że te konkrety, liczby, akcje z naszym udziałem, że to znajdzie odzwierciedlenie w wyniku wyborów.

To jeszcze w kontekście politycznego PR: można odnieść wrażenie, że dezinformacja stała się już dość swobodnie wykorzystywanym narzędziem walki politycznej. Podziela pan taką opinię?

Dla mnie to w tej chwili jest chleb powszedni, każde otwarte spotkanie to jest konfrontacja z przykładami dezinformacji, czasem bardzo brutalnymi. Nasz region, który leży „po drodze" na Ukrainę, jest na to szczególnie narażony. Na pewno ostatnie pół roku to większa aktywność rosyjska pod każdym względem i widzę to czytając ekspertyzy ośrodków analitycznych, rządowe. Dużo więcej uderzeń destabilizujących, długotrwałych ataków na Ukrainę, długotrwałość alarmów i przede wszystkim liczba ofiar. Jak my na to reagujemy? Podstawowym instrumentem rosyjskim jest strach, co można zrobić, by ludzie się nie bali. Po pierwsze: budować schrony i miejsca schronienia, po drugie: ja w swojej pracy kładę nacisk na działania przez sieci społeczne, na przykład przez koła gospodyń wiejskich i straże pożarne, przez grupy społeczne o ugruntowanym autorytecie, by informowały otoczenie, jak to dzisiaj działa. Po to, by ludzie się nie bali, a bać się nie ma czego, bo nasze państwo na prowokacje rosyjskie jest dobrze przygotowane, przynajmniej porównując to z innymi państwami europejskimi. Powołam się na przykład kół gospodyń wiejskich: spotkałem się z gospodyniami w Słuczance na Podlasiu, by przygotować liderki do działań w sytuacji kryzysowej: jak zabezpieczyć wodę i żywność na kilka kryzysowych dni dla większej grupy osób, jak konserwować żywność. Przecież one to robią na co dzień na przykład wekując mięso albo przygotowując przetwory. I to jest prosty sposób na gromadzenie zapasów „na czarną godzinę".

Nie o skalę geopolityczną pytałem w kontekście dezinformacji w polityce. Raczej o używanie jej do walki o dusze wyborców w naszej polityce wewnętrznej. Tragiczne wydarzenie na krakowskim rynku to był chyba skrajny przykład tego zjawiska: policji nie było, bo została wywieziona z miasta do ochrony Trybunału Konstytucyjnego.

To dobry przykład, jak niektóre prywatne media włączyły się w ten nurt. Sakiewicz, który zdaje się sam organizował jakąś manifestację, sam siłą rzeczy absorbował policjantów, zaczął ich atakować już w trakcie ich działań i nie wstydził się tego, ciągnął przekaz nawet wtedy, kiedy policjanci wykazali się wyjątkowym bohaterstwem. Ludzie z różnych części świata do mnie pisali, zwracając uwagę na ich bohaterstwo, a Republika cały czas ich atakowała. Już nie mówiąc o mieszaniu festynu przed budynkiem TK z jakimś handlem. Straszne to wszystko swoją drogą. To co nowe: niektóre media, by coś ugrać, są w stanie włączyć się otwarcie w te dezinformacyjne akcje.

Nie koncentrując się na tym konkretnym przypadku: wydaje się, że obu zwaśnionym stronom sceny

eprasa.pl 02fa9cb6db



FOT. ARCHIWUM

Paweł Kowal: Podstawowym instrumentem rosyjskim jest strach, co można zrobić, by ludzie się nie bali. Po pierwsze: budować schrony i miejsca schronienia, po drugie: ja w swojej pracy kładę nacisk na działania przez sieci społeczne, na przykład przez KGW i OSP, przez grupy społeczne o ugruntowanym autorytecie, by informowały otoczenie, jak to dzisiaj działa

politycznej niespecjalnie zależy na tym, by być bezgranicznie przywiązanym do prawdy.

Dla mnie to za daleko posunięta generalizacja. Mamy takie czasy, że trzeba patrzeć na konkretne osoby i ich postawy. Sam jestem jedną z ofiar takich ataków. Jako współodpowiedzialny za politykę wobec Ukrainy prowadziłem rozmowy o ekshumacjach i one okazały się bardzo pomyślne. Nie w jednym, dwóch, trzech miejscach, bo wszystkie wnioski, które składam o ekshumację ofiar ludobójczego planu wysiedlenia Polaków, także żołnierzy wrześnie 1939 roku, choćby podwładnych generała Maczka, a związanych z Rzeszowem, to wszystko się dzieje. Strategia dezinformacyjna Rosji w tej sprawie jest bardzo aktywna, wiedzą, że ten temat „podkręca" relacje polsko-ukraińskie. I to się dzieje każdego dnia. I przy każdej możliwej okazji, wywiadu, podkreślam, ile udało się w kwestii ekshumacji zrobić.

Aż u niechętnych panu dorobił się pan opinii sprzyjającemu Ukrainie sympatyka przyjaźni polsko-ukraińskiej, niemal sympatyka banderyzmu, zdrajcy ojczyzny, przypisują panu etniczne pochodzenie ukraińskie, nawet pana nazwisko zyskało u nich brzmienie na wzór końcówek języka naszych wschodnich sąsiadów. I co pan może z tym zrobić?

Za to wzięła się już sztuczna inteligencja. Kiedy nasłucham się i naczytam pod postami tych faszolskich ataków na mnie, to sprawdzam, co na to sztuczna inteligencja i okazuje się, że już ona jest na to wściekła. Że w stylu: zostawcie Pawła Kowala w spokoju, jego rodzice, dziadkowie leżą na cmentarzach wokół Rzeszowa, to jest rodzina rzymskokatolicka. Te „szwy informacyjne" są widoczne, że te ataki na mnie gdzieś tam były inspirowane, by utrudnić porozumienie polsko-ukraińskie. I co ja mam na to odpowiedzieć. Jestem polskim politykiem, reprezentuję polską rację stanu, jej częścią są dobre relacje z Ukrainą. I nie wyobrażam sobie, byśmy jako politycy doprowadzili do tego, by relacje polsko-ukraińskie się pogarszały. A bywały ostatnimi czasy na tle ukraińskich decyzji dotyczących kwestii historycznych. Bo jeśli chodzi o kwestie ekshumacji, to w ostatnim roku jest duży postęp i nie było żadnego cofnięcia. Jednak kiedy chodzi o interpretacje historii i UPA, to były dwa poważne załamania tego kursu. Ja takie sytuacje odbieram bardzo osobiście, widzę radość tych wszystkich trolli ruskiej propagandy, ale jako polski polityk nie mam wyjścia, bo co mi pozostaje robić? Jedynym sposobem budowania bezpieczeństwa Polski jest drogą dyplomatyczną i polityczną budować dobre relacje polsko-ukraińskie.
Na dezinformację odpowiadamy faktami, choćby takim, że obecnie Polska wysyła na Ukrainę towarów za 14 mld euro, to jedna trzecia całego eksportu Unii Europejskiej. Możemy sobie wyobrazić, ile to daje w Polsce miejsc pracy. A do tego jeszcze Ukraińcy pracujący tu i prowadzący firmy. Są częścią sukcesu naszego rynku.

Kwestia relacji z naszymi wschodnimi sąsiadami to tylko element zjawiska, w którym naszymi emocjami rządzi agresja. A przykład, wręcz przyzwolenie przychodzi też z góry: poziom emocji w dyskursie politycznym odbija się czkawką społeczną i kończy się mit o „wojnie na górze, spokoju na dole". Jako przedstawiciel klasy politycznej narodu czuje się pan za ten stan współodpowiedzialny? Bo nie pomagacie lać oliwy na wzburzone fale emocji społecznych.

Nie ma czegoś takiego jak jedna klasa polityczna, tak jak nie ma jednego dziennikarstwa. Uważam, że częścią mojej misji, także w naszym regionie, jest pokazywać, że można inaczej. Że gdzie się da - trzeba współpracować. Niedawno uczestniczyłem w szczycie dotyczącym transportu lokalnego, na którym był też prezydent Stalowej Woli Lucjusz Nadbereżny, z którym w wielu sprawach się mocno różnię. A w kwestii oddania ludziom więcej transportu publicznego od razu dyskutujemy i nie było żadnego problemu. Politycy są różni i każdy musi rozpocząć od siebie. Nie podoba mi się, że ten element przemocy pojawia się na ulicy, nie posunę się do oskarżania tego czy innego polityka, że jego działania doprowadziły do tragedii, ale one jednak tworzą klimat. Co mogę zrobić, to zaapelować: uważajcie na ostre słowa, bo mogą spłynąć krwią.
©℗

REKLAMA 0311461412



eprasa.pl 02fa9cb6db

PRAWO

Siekierą rozłupał psu głowę. Ludzie: „Matka będzie następna?”

24-letni Michał B. z gminy Bartniczka chwycił za siekierę i uwiązanemu na łańcuchu psu sąsiada rozłupał głowę. Od września jest w areszcie. Niebawem może go opuścić, bo biegli zalecają pilnie jego leczenie z uzależnienia od narkotyków i alkoholu. Ludzie boją się, czy gdy wróci, nie będzie szukał odwetu na matce, która o zbrodni powiadomiła policję

Małgorzata Oberlan

Do bestialskiego zamordowania psa doszło 30 sierpnia. Prokuratura szybko postawiła zarzut zabójstwa zwierzęcia ze szczególnym okrucieństwem. 2 września Sąd Rejonowy w Brodnicy zastosował wobec 24-letniego sprawcy areszt tymczasowy na 3 miesiące. Niebawem jednak może on zza tych krat wyjść - choć nie na wolność. Ujawniamy to jako pierwsi.

- Opinia sądowo-psychiatryczna jest jasna. Biegli stwierdzili u Michała B. silne uzależnienie od narkotyków i alkoholu, wskazując na pilną potrzebę leczenia. Taki wniosek o leczenie prokurator z Brodnicy złożył już w miejscowym sądzie - przekazuje nam prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Toruniu.

Uzależnienie i konieczność leczenia młodego mężczyzny absolutnie nie wyklucza jego odpowiedzialności karnej i gotowości do poniesienia konsekwencji. Nie ma tutaj mowy o żadnej niepoczytalności. Jest za to w gminie Bartniczka (i nie tylko) pytanie, które męczy wielu ludzi: - Jak wyjdzie (bo przecież prędzej czy później wyjdzie na wolność), matka może być następna! Może chcieć się na niej zemścić za to, że zawiadomiła policję - alarmują. Prokuratura zdaje siebie sprawę z takiej możliwości, chciałaby zapewnić kobiecie bezpieczeństwo. Na razie jednak ma związane ręce, o czym w dalszej części tekstu. Kończy śledztwo i przesłuchania świadków w sprawie mordu psa i zapowiada, że po 12.11, skieruje do sadu akt oskarżenia.

Ciosy siekierą w głowę psa

Co dokładnie wydarzyło się 30.08. br. w jednej ze wsi w gminie Bartniczka? Jak już ustalili policjanci i brodniccy śledczy, 24-letni Michał B. ze szczególnym okrucieństwem zamordował tutaj psa. To był zwykły kundelek; mieszaniec. Nie miał ruchu i był uwięziony na łańcuchu przy budzie. Należał do sąsiada Michała B. Czy tak unieruchomiony pies stanowił jakiekolwiek zagrożenie?

24-latek chwycił za siekierę i zadał psu kilka ciosów w głowę. Rozłupał mu czaszkę. Potem zwłoki zakopał. Wstępnie podano, że mężczyzna był „pod wpływem alkoholu”; teraz okazało się, że, według psychiatrów, silnie uzależniony jest też od narkotyków.



FOT. PEXELS

Do bestialskiego zamordowania psa sąsiadów przez 24-letniego Michała B. doszło niedawno w gminie Bartniczka

Po tej zbrodni to mieszkająca na tej samej posesji matka Michała B. zawiadomiła o wszystkim policję. Według niektórych naszych rozmówców, mogło być tak, że kobieta wzywała policję nie tylko do zabitego psa, ale już w obawie, że zdolny do takiego zwyrodnialstwa, pobudzony syn także jej zrobi krzywdę.

Michał B. został zatrzymany i szybko usłyszał zarzuty. Formalnie ciąży na nim zatem zarzut popełnienie przestępstwa z art. 35 ust. 1 i 2 Ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o ochronie zwierząt. - Przesłuchany w charakterze podejrzanego przyznał się do popełniania zarzucanego mu czynu i pokazał funkcjonariuszom policji miejsce, gdzie zakopał psa. Wyjaśnił, że zrobił to, bo pies był agresywny i obawiał się, że zrobi w końcu komuś krzywdę - relacjonuje rzeczniczka prokuratury.

Uzależniony, już karany.

Prokuratura prosi, by nie zdradzać nazwy miejscowości w gminie Bartniczka zamieszkiwanej przez Michała B. i matkę. Nie ze względu na podejrzanego, lecz „aby dodatkowo nie stygmatyzować jego rodziny”. Tak czynimy, choć miejscowym postaci tego dramatu są znane.

Kim jest Michał B.? Ma 24 lata i, jak piszemy na wstępie, biegli psychiatrzy zdiagnozowali u niego teraz silne „uzależnienie mieszane”. - Od amfetaminy, marihuany oraz alkoholu - precyzuje prokurator Izabela Oliver.

Mimo młodego wieku mężczyzna wchodził już w konflikty z prawem i ma na koncie przynajmniej dwa wyroki skazujące. Jeden za przestępstwo narkotykowe, a drugi - za jazdę samochodem po pijaku.

Wydarzenia z 30.08. jasno wskazują, że był/jest nieobliczalny. Pytanie, czy zagraża także ludziom. I do czego jest zdolny względem matki, która „na niego doniosła”? Na razie Michał B. jest jeszcze w areszcie - od 2 września. Może go opuścić i adres zmienić na ośrodek, w którym przejdzie leczenie uzależnień - jeśli tylko brodnicki sąd przychyli się do wniosku prokuratury. Czy potem w oczekiwaniu na swój proces przed sądem nadal będzie aresztowany? Nie wiadomo.

Jego obrońca od razu zaskarżył zastosowywanie tymczasowego aresztowania. Wtedy Sąd Okręgowy w Toruniu jednak zażalenia nie uwzględnił i decyzję podtrzymał w mocy. Czy jednak tak się stanie ponownie, w razie przedłużania aresztu i jego zaskarżenia? Pewności brak.

Czy matka będzie bezpieczna?

„Matka będzie następna?” - to pytanie retoryczne powtarzają zwykli ludzie i internauci, których bardzo poruszyła cała sprawa. Boją się, że gdy tylko 24-latek znajdzie się na wolności (choćby okresowo), będzie szukał odwetu na matce.

- Plan jest taki, że prokurator podejmie próbę zapewnienia bezpieczeństwa kobiecie, choć obecnie ma nieco związane ręce. Czyn Michała B. jest okropny, ale cała sprawa jest dla prokuratury trudna procesowo - nie kryje prokurator Izabela Oliver.

Aby podjąć konkretne kroki izolujące 24-latka w razie potrzeby od matki, konieczna byłaby jej współpraca. Na razie brak, według wiedzy śledczych, formalnych zgłoszeń sprzed zabicia psa, dotyczących gróźb czy aktów przemocy syna wobec matki. Toczące się natomiast śledztwo w sprawie zabójstwa zwierzęcia nie dotyczy takiego aspektu.

Zatem: musiałyby być przynajmniej zgłoszenia kobiety, że czuje się realnie zagrożona. Tymczasem, w podobnych sprawach policjanci i prokuratorzy są przyzwyczajeni do tego, że gdy pierwszy szok mija, matki potrafią wycofać pierwsze zeznania obciążające syna czy córkę. Więcej - skorzystać z prawa odmowy złożenia jakichkolwiek kolejnych zeznań jako osoby najbliższej podejrzanemu. Zdarza się to nawet wtedy, gdy matka pada ofiarą przemocy. Czy tak będzie w przypadku matki Michała B.? Nie wiadomo, ale prokuratura realnie bierze i ten scenariusz pod uwagę, gdy dopytujemy o zapewnienie bezpieczeństwa kobiecie. Kłopot poważny ma także z przedłużaniem aresztu tymczasowego młodemu mężczyźnie.

- Za „zwykłe” zabójstwo zwierzęcia grozi kara do 3 lat pozbawienia wolności. Za zabójstwo dokonane ze szczególnym okrucieństwem, tak jak u Michała B., maksymalna możliwa kara to 5 lat więzienia. Przy kolejnym wniosku do sądu o areszt (przedłużenie) nie możemy zatem nawet powołać się na grożącą podejrzanemu surową karę. Bo „surowa kara” zgodnie z przepisami to minimum 8 lat więzienia - wyjaśnia prokurator Oliver.

I tu dochodzimy do sedna szerszego problemu.

Kary niskie, a i tak orzekane w dolnych granicach

Wspomniane 3 lata za zabicie zwierzęcia i maksymalne 5 lat więzienia za taki mord ze szczególnym okrucieństwem to kary wprowadzone w 2018 r. (zaostrzone, bo były jeszcze łagodniejsze). Nie przystają do wagi i potworności tych przestępstw, powinny być surowsze - to słyszymy kolejny raz od samych śledczych. Jak mantrę od lat powtarzają to także adwokaci w całym kraju, tacy jak np. Anita Engler z Torunia, często reprezentująca przed sądem Animalsów, czy Katarzyna Topczewska związana z Warszawą, też niezwykle aktywna w takich sprawach.

- Powtarza się: zaostrzyć kary. Ale niech najpierw sędziowie zaczną korzystać z tego, na co pozwalają im przepisy, bo tego nie robią. Na dobrą sprawę znam tylko jeden taki wyrok: 4 lata więzienia za zabicie ze szczególnym okrucieństwem psa. Jeden! Zwykle sądy nadal są w orzekaniu tych kar ostrożne. Kara 5 lat nigdy jeszcze nie zapadła. Nie rozumiem, dlaczego w przypadkach bardzo drastycznych czynów, szczególnie gdy sprawcy byli wcześniej karani za inne przestępstwa, traktowani są dalej zbyt łagodnie. Podobnie, jeżeli chodzi o nawiązki obok kar – sędziowie mogą zasądzić do 100 tys. zł. Jednak trzymają się dolnych granic - podkreślała z goryczą adwokat Katarzyna Topczewska w wywiadzie w ub.r. (Dla: Monika Głuska-Durenkamp, portal Hello Zdrowie).

Jaka kara spotka za zabicie psa siekierą Michała B. , zdecyduje najprawdopodobniej Sąd Rejonowy w Brodnicy. Apelacja będzie przysługiwać do Sądu Okręgowego w Toruniu.©℗

Wyroki za zbrodnie na psach

Rok 2020. Tarnów-Lisia Góra. Sąd orzeka bezwzględne więzienie za zabicie psa siekierą, ale tylko 6 miesięcy. Daniel M. uśmiercił zwierzę, bo „nie mógł wytrzymać jego szczekania” i - jak zeznał w sądzie - nie był w stanie się nim opiekować.

Rok 2021. W Sądzie Rejonowym w Rykach zapada wyrok dla 60-letniego Eugeniusza P. Za powieszenie psa w komórce i zakopanie go dostał karę 6 miesięcy pozbawienia wolności oraz nawiązkę w wysokości 2,5 tys. zł na rzecz Animalsów. Do tego: 5-letni zakaz posiadania zwierząt.

Lipiec 2026 r. Sąd Rejonowy w Zielonej Górze wydaje wyrok w jednej z najbardziej wstrząsających spraw dotyczących znęcania się nad zwierzętami w tym regionie. Mężczyzna, który brutalnie skatował 8-miesięczną Lusię pod Zieloną Górą i zakopał ją żywcem, zostaje uznany za winnego. Kara budzi oburzenie opinii publicznej - skazany zostaje bowiem tylko na 5 miesięcy więzienia i to w zawieszeniu na okres próby. Animalsi od razu zapowiedzieli apelację.

eprasa.pl 02fa9cb6db

REKLAMA 0011611030

P-TEC w Warszawie. Polska stanie się centrum transatlantyckiej debaty o bezpieczeństwie energetycznym

Energetyka jądrowa, dostawy amerykańskiego LNG, rozwój infrastruktury gazowej i elektroenergetycznej oraz finansowanie strategicznych inwestycji – to najważniejsze tematy siódmej edycji Partnership for Transatlantic Energy Cooperation (P-TEC). 18 i 19 listopada 2026 roku Warszawa będzie gościć przedstawicieli rządów, instytucji finansowych i największych firm sektora energetycznego ze Stanów Zjednoczonych oraz Europy Środkowo-Wschodniej.



Partnership for Transatlantic Energy Cooperation

P-TEC organizują wspólnie Departament Energii USA, polskie Ministerstwo Energii oraz Global Energy Center działające przy Atlantic Council. P-TEC to jedna z najważniejszych platform współpracy energetycznej Stanów Zjednoczonych z krajami Europy Środkowo-Wschodniej. Jej znaczenie rośnie razem ze zmianami na europejskim rynku energii, potrzebą dywersyfikacji dostaw surowców oraz poszukiwaniem nowych źródeł finansowania inwestycji infrastrukturalnych.
Tegoroczna, 7 już edycja skupia się na budowaniu bardziej bezpiecznego, stabilnego i konkurencyjnego systemu energetycznego w Europie. Szczególne miejsce w programie zajmą: współpraca w energetyce jądrowej, długoterminowe dostawy skroplonego gazu ziemnego (LNG), ochrona infrastruktury krytycznej oraz integracja regionalnych rynków energii. Organizacja tego spotkania ma dla Polski znaczenie dyplomatyczne i gospodarcze. Warszawa będzie miejscem rozmów o konkretnych kontraktach, inwestycjach oraz możliwościach zaangażowania amerykańskiego kapitału i technologii w rozwój energetyki w regionie.

Dwa dni rozmów o przyszłości energetyki

18 listopada odbędzie się forum biznesowe **P-TEC Business Forum,** podczas którego przedstawiciele sektora publicznego i prywatnego będą rozmawiać o współpracy w strategicznych projektach energetycznych. Na 19 listopada zaplanowano **spotkanie ministerialne** przedstawicieli najwyższego szczebla administracji państwowej. Jednym z głównych punktów pierwszego dnia będzie spotkanie sekretarza energii Stanów Zjednoczonych Chrisa Wrighta z polskim ministrem energii Miłoszem Motyką. Rozmowa będzie dotyczyć kierunków współpracy energetycznej między obydwoma krajami.
Wśród uczestników i zaproszonych gości są przedstawiciele Komisji Europejskiej, operatorów infrastruktury energetycznej, instytucji finansowych oraz największych przedsiębiorstw sektora. W programie przewidziano m.in. udział przedstawicieli Polskich Sieci Elektroenergetycznych, ORLENU, PGE Polskiej Grupy Energetycznej, GAZ-SYSTEM, Polskich Elektrowni Jądrowych i Synthos Green Energy.

Energetyka jądrowa i amerykańskie technologie

Jednym z najważniejszych tematów spotkania będzie rozwój energetyki jądrowej w Europie Środkowo-Wschodniej. Uczestnicy będą rozmawiać o dostępności technologii, możliwościach rozwoju europejskich łańcuchów dostaw, zabezpieczeniu dostaw paliwa jądrowego oraz finansowaniu nowych projektów.
Osobna część programu poświęcona będzie współpracy przemysłowej i regulacyjnej w energetyce jądrowej. Dotyczyć będzie m.in. przyspieszenia inwestycji, rozwoju kompetencji technologicznych, bezpieczeństwa cyklu paliwowego oraz zwiększenia udziału przedsiębiorstw z Europy i Stanów Zjednoczonych w realizacji projektów atomowych. Uczestnicy będą też rozmawiać o zmniejszeniu zależności od rosyjskich dostaw uranu i technologii jądrowych.

LNG i Polska jako regionalna brama gazowa

Kolejnym ważnym tematem będzie współpraca gazowa między Stanami Zjednoczonymi a Europą. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę LNG stało się jednym z filarów bezpieczeństwa energetycznego Unii Europejskiej. Dyskusja będzie dotyczyć nie tylko bieżących dostaw, ale również długoterminowych kontraktów, rozbudowy infrastruktury regazyfikacyjnej oraz warunków współpracy handlowej. Wśród tematów znajdą się także unijne regulacje emisji metanu i mechanizm CBAM, które mogą wpływać na konkurencyjność amerykańskiego gazu na europejskim rynku.
Szczególnie interesujący z polskiej perspektywy będzie panel o wykorzystaniu krajowej infrastruktury do budowy regionalnego hubu gazowego. Polska, dzięki terminalowi LNG na Bałtyku, infrastrukturze przesyłowej i połączeniom transgranicznym może być jednym z głównych punktów dostępu do światowych dostaw gazu.
W dyskusji wezmą udział Ireneusz Fąfara, prezes ORLENU, Sławomir Hinc, prezes GAZ SYSTEM, Piotr Listwoń, prezes Towarowej Giełdy Energii, oraz Dariusz Lubera, prezes PGE Polskiej Grupy Energetycznej.
Temat będzie kontynuowany drugiego dnia spotkania, podczas ministerialnej debaty o zabezpieczeniu dostaw LNG na kolejną dekadę. W tych rozmowach uczestniczyć będą m.in. minister energii Miłosz Motyka oraz przedstawiciele rządów Węgier i Grecji.

Zagrożenie dla infrastruktury energetycznej

Bezpieczeństwo energetyczne to nie tylko dostępność surowców i źródeł energii. Coraz większym wyzwaniem staje się ochrona infrastruktury krytycznej przed cyberatakami, sabotażem i zagrożeniami militarnymi.
Jeden z paneli pierwszego dnia będzie poświęcony odporności europejskiego systemu energetycznego. Eksperci przeanalizują doświadczenia ostatnich lat, wpływ zagrożeń na ceny energii, transport surowców i rynek ubezpieczeń. Dyskusja obejmie również rolę strategicznych rezerw, współpracy sektora publicznego i prywatnego oraz inwestycji zwiększających odporność infrastruktury. Uczestnicy będą szukać odpowiedzi na pytanie, jak przyspieszyć inwestycje i usunąć bariery regulacyjne, administracyjne oraz finansowe.

Kto sfinansuje energetyczne inwestycje?

Ambitne projekty energetyczne wymagają ogromnego kapitału. Dlatego ważnym elementem P-TEC będzie dyskusja o mobilizowaniu prywatnych inwestycji i wykorzystaniu amerykańskich oraz europejskich instytucji finansowych. Jej tematyka to: gwarancje państwowe, ubezpieczenia ryzyka politycznego, finansowanie mieszane oraz współinwestowanie kapitałowe. Chodzi o takie konstruowanie projektów, aby zwiększyć ich atrakcyjność i ograniczyć ryzyko inwestorów.
W panelu wezmą udział przedstawiciele amerykańskiego Export-Import Bank, funduszu KKR, Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju oraz Banku Gospodarstwa Krajowego. Polskę reprezentować będzie Jakub Jaworowski z zarządu BGK.

Warszawa skupia rozmowy o energetycznej przyszłości Europy

Drugi dzień wydarzenia będzie miał bardziej polityczny i strategiczny charakter. Podczas spotkania ministerialnego przedstawiciele rządów skoncentrują się na przyszłości współpracy transatlantyckiej, rozwoju energetyki jądrowej i długoterminowym bezpieczeństwie dostaw LNG.
W programie przewidziano też dyskusję o wykorzystaniu P-TEC do pogłębiania współpracy przemysłowej i technologicznej między Stanami Zjednoczonymi a Europą Środkowo-Wschodnią.
Partnerem Strategicznym Wydarzenia jest ORLEN.
Partnerzy: PGE Polska Grupa Energetyczna, ENEA, GAZ-SYSTEM.

PARTNER STRATEGICZNY WYDARZENIA

PARTNERZY WYDARZENIA

eprasa.pl 02fa9cb6db

HISTORIA I TERAŹNIEJSZOŚĆ

Wrocławski lekarz zbadał szczątki Polaków z Wołynia. Wśród ofiar rzezi siekierami i młotkami były niemowlęta

Kilkumiesięczne i kilkuletnie dzieci, kobiety i mężczyźni. Zginęli od uderzeń ciężkimi narzędziami, a ich ciała wrzucono do wspólnego grobu. Niedawno zakończyły się kolejne prace ekshumacyjne w Woli Ostrowieckiej i Ostrówkach na Wołyniu. Naukowcy zbadali szczątki 48 osób. Obrażenia na kościach potwierdzają brutalny sposób, w jaki mordowano mieszkańców polskich wsi w sierpniu 1943 roku. – Ofiary zabijano uderzeniami w głowę narzędziami gospodarskimi, mówi się m.in. o obuchach siekier – opowiada dr Łukasz Szleszkowski z Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, uczestnik prac ekshumacyjnych

Michał Perzanowski



ZDJĘCIA: TOMASZ TRZASKA/BIURO POSZUKIWAŃ I IDENTYFIKACJI IPN

Ekshumacje w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej przeprowadzono w lipcu i sierpniu

Tegoroczne prace na Wołyniu były kontynuacją wieloletnich poszukiwań szczątków Polaków zamordowanych przez ukraińskich nacjonalistów w sierpniu 1943 roku. W największym z badanych grobów odnaleziono szczątki 48 ofiar. Było to w Woli Ostrowieckiej, dawnej polskiej miejscowości w powiecie lubomelskim.

– Około 80 procent z nich to dzieci: od kilkumiesięcznych do 12. roku życia. 17 szkieletów należało do kobiet, trzy do mężczyzn. Płci pozostałych nie ustaliliśmy jeszcze do końca, bo nie zawsze udaje się to zrobić na podstawie samej budowy kości – mówił w studiu „Gazety Wrocławskiej" dr Łukasz Szleszkowski.

To właśnie badanie szczątków i ustalanie okoliczności śmierci ofiar było jego zadaniem. Dr Szleszkowski jest specjalistą medycyny sądowej, nauczycielem akademickim Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu i biegłym sądowym. Od 18 lat współpracuje z IPN, badając szczątki Polaków, którzy zginęli w różnych tragicznych wydarzeniach XX wieku.

– Dzięki zainteresowaniom historycznym, rodzinnym historiom i wieloletniej współpracy z IPN mogę wykorzystać swój warsztat w badaniach ofiar wydarzeń sprzed ponad 80 lat. Ustalam najbardziej prawdopodobną przyczynę zgonu, rodzaj obrażeń, mechanizm ich powstania i próbuję odtworzyć okoliczności zdarzenia. To samo robię na co dzień, tylko tutaj w odniesieniu do zdarzeń historycznych – mówi.

Tak zabijano ofiary rzezi wołyńskiej

Badania przeprowadzone w Woli Ostrowieckiej przyniosły kolejne dowody na brutalny sposób mordowania mieszkańców wsi. Na odnalezionych czaszkach stwierdzono obrażenia powstałe w wyniku uderzeń ciężkimi przedmiotami. Nie były to przypadkowe uszkodzenia kości, które mogły pojawić się podczas kilkudziesięciu lat spędzonych pod ziemią.

– Na czaszkach stwierdziłem obrażenia wskazujące na użycie tępych, tępokrawędzistych narzędzi o stosunkowo ograniczonej powierzchni. Jedna czaszka miała bardzo charakterystyczne obrażenie w kształcie trójkąta, powstałe od narzędzia, w którym musiały się schodzić trzy powierzchnie pod określonymi kątami. Dokładnie takie samo obrażenie znaleziono w 1992 roku w sąsiednim grobie. To ten sam sposób działania sprawców, to samo zdarzenie, ta sama zbrodnia – opowiada dr Szleszkowski.

Jak wyjaśnia, w około połowie przypadków obrażenia były bardzo dobrze widoczne. Znajdowały się przede wszystkim w tylnej części czaszek i na ich sklepieniach. To pozwalało na odtworzenie mechanizmu zabójstwa.

– Medycyna sądowa jest bardzo ostrożna w formułowaniu wniosków. Jeśli mamy wątpliwości, raczej je odrzucamy. Kiedy stwierdzam obrażenia okołośmiertne, mam pewność, że nie powstały one podczas wieloletniego zalegania w grobie ani podczas eksploracji jamy grobowej – dodaje dr Szleszkowski.

Wyniki badań potwierdzają relacje świadków dotyczące przebiegu zbrodni w gospodarstwie Aleksandra Strażyca.

– Moje badania, podobnie jak te z 1992 roku, tylko potwierdzają te relacje. Ofiary zabijano uderzeniami w głowę narzędziami gospodarskimi, mówi się m.in. o obuchach siekier. Ciała wrzucano potem do dołów – mówi nasz rozmówca.

„Wola Ostrowiecka zostanie w nas wszystkich na zawsze"

Dla dr. Szleszkowskiego tegoroczna ekspedycja była szczególnym doświadczeniem. W tym roku spędził w Ukrainie około trzech miesięcy. Łącznie z pracami z poprzedniego roku były to cztery miesiące badań. Oprócz Wołynia uczestniczył również w ekshumacjach polskich żołnierzy poległych w 1939 roku we Lwowie.

Przyznaje, że praca medyka sądowego wymaga dystansu i ostrożności. Nie oznacza to jednak, że podczas badania ofiar tragicznych wydarzeń historycznych można całkowicie odciąć się od emocji.

– Medyk sądowy nie pracuje emocjami. Ale w sprawach naszej trudnej historii nie wyłączam ich celowo, bo nie chcę przechodzić obok tego bezrefleksyjnie. Mam własną historię rodzinną: katyńską i deportacji do Kazachstanu. Moi babcia, dziadek i pradziadek zginęli w wyniku represji. Emocje oczywiście nie mogą przeszkadzać w pracy, ale nam towarzyszą – kwituje w naszym studiu.

Szczególne znaczenie mają dla niego Wola Ostrowiecka i Ostrówki.

– Wola Ostrowiecka i Ostrówki to miejsca wyjątkowe, jeśli chodzi o badanie rzezi wołyńskiej. To zasługa historyka z IPN, doktora Leona Popka, który całe życie zawodowe poświęcił badaniu tej zbrodni. Jego rodzina pochodzi z tych wsi, jego mama uciekła i ocalała, część rodziny zginęła. Od lat 70. zbierał relacje i prowadził kwerendy. Dziś mamy ponad 70 relacji osób, które przeżyły – dodaje.

W pracach uczestniczyli polscy specjaliści z Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN oraz ukraińska firma „Wołyńskie Starożytności". Jak zaznacza nasz rozmówca, współpraca przebiegała bez przeszkód, mimo że badania odbywały się w kraju objętym wojną.

– Od 18 lat ściśle współpracuję z IPN i badałem szczątki Polaków, ofiar różnych tragicznych wydarzeń XX wieku. Myślę jednak, że Wola Ostrowiecka zostanie w nas wszystkich na zawsze. Chodzi o charakter zbrodni, sposób jej dokonania i przede wszystkim ofiary: dzieci, kobiety, niewinnych ludzi – mówi dr Szleszkowski.

Szczątki ofiar trzeba dokładnie zbadać

Ekshumacja to wieloetapowy i czasochłonny proces. Zgodnie z ukraińskim prawem najpierw uzyskuje się zgodę na poszukiwania. Dopiero po potwierdzeniu obecności ludzkich szczątków można wystąpić o zgodę na ich wydobycie.

Następnie archeolodzy odsłaniają szczątki, dokumentują ich położenie, wydobywają je pojedynczo i oczyszczają. W przypadku największego grobu w Woli Ostrowieckiej samo wydobywanie szczątków zajęło doświadczonym archeologom dwa tygodnie.

Później materiał trafia do specjalistów. Antropolog określa m.in. wiek i płeć ofiar, a medyk sądowy analizuje obrażenia. Na końcu pobierane są próbki do badań genetycznych.

– Żeby zidentyfikować ofiarę badaniami genetycznymi, potrzeba dwóch rodzajów danych. Pierwsze to profil DNA ze szczątków, czyli dane post mortem. To jednak dopiero połowa sukcesu. Potrzebujemy też danych ante mortem, czyli profilu członka rodziny, która szuka zaginionego krewnego – podkreśla Szleszkowski.

Nie zawsze jednak będzie możliwe ustalenie tożsamości wszystkich zamordowanych. Problemem jest zarówno stan zachowania szczątków, jak i brak materiału porównawczego od krewnych. W przypadku rzezi wołyńskiej zdarzało się bowiem, że ginęły całe rodziny.

– Ryzyko, że części ofiar nie odnajdziemy, jest duże. W grobie ekshumowanym w 1992 roku pochowano ponad dwieście osób. Były też badania w latach dwutysięcznych, w innych miejscach odnaleziono około trzystu osób. To już kilkaset

eprasa.pl 02fa9cb6db





ofiar, ale wciąż sporo osób brakuje. Trzeba założyć, że części się nie znajdzie, bo mogą to być pojedyncze groby, a takich jest na pewno mnóstwo – mówi.

IPN apeluje do rodzin

Tegoroczne badania są kolejnym etapem prac prowadzonych w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej. Wcześniejsze ekshumacje odbywały się tam w 1992, 2011 i 2015 roku. W ich trakcie odnaleziono i godnie pochowano szczątki 674 zamordowanych Polaków.

Mimo wieloletnich poszukiwań wciąż nie odnaleziono wszystkich ofiar. Według szacunków badaczy ponad 300 osób nadal może spoczywać w nieodkrytych mogiłach. Niektóre z nich mogą znajdować się w pojedynczych grobach, których lokalizacja nie została dotąd ustalona.

Dr Szleszkowski ma ważny apel do mieszkańców Wrocławia i całego Dolnego Śląska, których rodziny mają związki z Wołyniem lub dawną Galicją Wschodnią, o kontakt z Instytutem Pamięci Narodowej.

Około 80 procent z nich to dzieci: od kilkumiesięcznych. do 12. roku życia. 17 szkieletów należało do kobiet, trzy do mężczyzn

DR ŁUKASZ SZLESZKOWSKI

– Apeluję do mieszkańców Wrocławia i Dolnego Śląska o zgłaszanie się do wrocławskiego oddziału IPN albo do Biura Poszukiwań i Identyfikacji w Warszawie. Teraz można to zrobić mejlowo, a IPN pokieruje zainteresowanych, żeby oddali materiał do badań. Wiele dolnośląskich rodzin ma w swojej historii kartę wołyńską lub wschodniogalicyjską. Rozmawiając z ludźmi, często słyszę, że dziadek albo pradziadek uciekał przed pogromami na zachód. To temat bardzo bliski nam, Dolnoślązakom – zaznacza dr Szleszkowski.

Jak podkreśla, nawet jeśli nie uda się ustalić nazwisk wszystkich ofiar, najważniejszym celem pozostaje zapewnienie im godnego pochówku.

W Woli Ostrowieckiej Ukraińcy zamordowali ponad 600 osób

Wola Ostrowiecka była jedną z polskich wsi, które w sierpniu 1943 roku padły ofiarą zorganizowanego ataku ukraińskich nacjonalistów. Na terenie gospodarstwa Aleksandra Strażyca zamordowano łącznie 635 osób, w tym 628 Polaków i siedmiu Żydów.

Mieszkańców zwabiono na spotkanie przy szkole pod pretekstem rozmów o wspólnej walce z Niemcami. Napastnicy obiecywali mężczyznom, że po badaniach lekarskich część z nich trafi do oddziału partyzanckiego. Było to jednak kłamstwo.

Mężczyzn wyprowadzano niewielkimi grupami do stodoły. Tam zabijano ich przy użyciu siekier, młotków, pałek i maczug. Następnie ich ciała wrzucano do wcześniej przygotowanych dołów.

Po zamordowaniu mężczyzn sprawcy zaczęli zabijać kobiety i dzieci. Podpalili szkołę, w której przebywało około 150-200 osób. Do budynku wrzucali granaty, a do próbujących wydostać się przez okna strzelali. Podpalili również stodołę, w której zamknięto około 30 kobiet i dzieci.

Ciała ofiar trafiały do zbiorowych mogił. Podczas tegorocznych prac potwierdzono, że nie były one układane w trumnach ani w uporządkowany sposób.

Prace poszukiwawcze na Wołyniu mają być kontynuowane w przyszłym roku. IPN uzyskał już odpowiednie zgody. Jednym z zaplanowanych miejsc jest Huta Pieniacka, gdzie w tym roku odnaleziono masowy grób. Zakończono tam etap poszukiwań i uzyskano zgodę na ekshumację.

©℗

PATRONAT NASZEMIASTO.PL

0011612307

Blisko 20 tysięcy osób na biegowo uczciło Święto Niepodległości w Warszawie

36. Bieg Niepodległości przeszedł do historii z nowym rekordem frekwencji - linię mety przekroczyły 19 542 osoby. 11 listopada ulice Warszawy ponownie wypełniły się biało-czerwonymi barwami, a tegoroczna edycja połączyła rekordową skalę, wspólne świętowanie Narodowego Święta Niepodległości oraz sportową rywalizację na wysokim poziomie. Najmocniejszym sportowym akcentem był występ Kamila Herzyka, który zwyciężył z czasem 28:40, bijąc 32-letni rekord Polski U23 w biegu na 10 kilometrów. Całość dopełniła charakterystyczna dla Biegu Niepodległości atmosfera wspólnoty, pamięci i wspólnego świętowania 11 listopada.









FOT. PAWEŁ BEJNAROWICZ

Tegoroczna edycja już przed startem zapowiadała się rekordowo. Wszystkie 22 tysiące pakietów na bieg główny zostały wyprzedane na ponad dwa tygodnie przed wydarzeniem. Ostatecznie do mety dotarły 19 542 osoby, dzięki czemu 36. Bieg Niepodległości stał się największą edycją w historii.

Biało-czerwone święto na ulicach Warszawy

Charakter Biegu Niepodległości od lat buduje jego szczególna oprawa. Uczestnicy ubrani w białe i czerwone koszulki już na starcie stworzyli charakterystyczną „żywą flagę", przed rozpoczęciem biegu wspólnie odśpiewali hymn, a pierwsza fala ruszyła na trasę symbolicznie o godzinie 11:11. Historyczny wymiar wydarzenia podkreślała również obecność grupy rekonstrukcyjnej.

Na trasie spotkali się doświadczeni zawodnicy, biegacze amatorzy, rodziny i osoby, dla których udział w Biegu Niepodległości stał się stałym elementem obchodów 11 listopada. W programie wydarzenia znalazły się również Mila Niepodległości dla młodszych uczestników oraz rywalizacja nordic walking.

- Podczas 36. Biegu Niepodległości w ścisłym centrum Warszawy wystartowało ponad 20 tysięcy osób. Towarzyszyła nam niezwykła atmosfera - z jednej strony podniosła, charakterystyczna dla święta narodowego, a z drugiej radosna, budowana przez poczucie wspólnoty i wspólne świętowanie poprzez aktywność fizyczną. To wielki powód do dumy - podkreśla Tomasz Mencina, zastępca prezydenta m.st. Warszawy.

Kolejny rekord Polski na warszawskiej trasie

10-kilometrowa trasa 36. Biegu Niepodległości ponownie sprzyjała szybkiemu bieganiu. Największym sportowym wydarzeniem rywalizacji mężczyzn był występ Kamila Herzyka, który zwyciężył z czasem 28:40 i ustanowił nieoficjalny rekord Polski U23 w biegu na 10 kilometrów. Poprzedni rekord - 28:52 - należał do Piotra Gładkiego i przetrwał aż 32 lata. Dla Herzyka był to jednocześnie debiut na tym dystansie w rywalizacji seniorów.

Drugie miejsce zajął reprezentant Ukrainy Aleksii Pysarev, który finiszował z czasem 29:07 z rekordem życiowym. Na trzeciej pozycji znalazł się Dariusz Boratyński, który uzyskał 29:12 i ustanowił również najlepszy wynik w karierze.

W rywalizacji kobiet zwyciężyła Norweżka Hanne Mjøen Maridal, osiągając czas 31:33. Drugie miejsce zajęła zwyciężczyni tegorocznego 48. Maratonu Warszawskiego, reprezentantka Węgier Lili Anna Vindics-Tóth - 32:38. Wartościowy występ zanotowała Sylwia Indeka, która z czasem 32:41 zajęła trzecie miejsce i była najszybszą Polką. Wynik ten oznacza również znaczącą poprawę jej rekordu życiowego.

- Ten dzień przynosi nam mnóstwo radości i wzruszeń. Widok tysięcy ludzi, którzy 11 listopada gromadzą się w biało-czerwonych barwach, razem śpiewają hymn i wspólnie ruszają na trasę, najlepiej pokazuje wyjątkowy charakter Biegu Niepodległości. To święto pamięci, wspólnoty i dumy. Cieszy nas także wysoki poziom sportowy i doskonałe wyniki biegaczy. Dla naszej Fundacji to piękne zwieńczenie rekordowego roku - patrząc na skalę wydarzeń i wsparcie naszej społeczności, naprawdę mamy z czego być dumni - mówi Magda Skrocka, dyrektorka 36. Biegu Niepodległości.

Finał Warszawskiej Triady Biegowej „Zabiegaj o Pamięć"

36. Bieg Niepodległości był jednocześnie ostatnim wydarzeniem tegorocznej Warszawskiej Triady Biegowej „Zabiegaj o Pamięć", organizowanej przez Stołeczne Centrum Sportu Aktywna Warszawa oraz Fundację „Maraton Warszawski". Cykl tworzą trzy biegi związane z ważnymi datami w historii Polski: Bieg Konstytucji 3 Maja, Bieg Powstania Warszawskiego oraz Bieg Niepodległości.

eprasa.pl 02fa9cb6db

POLITYKA

Dr Agnieszka Kozak: Czasami potrzebujemy drobnej nici światła, by odzyskać nadzieję na nowe życie

– Nie możemy kontrolować wszystkiego, co nam się przydarzy, ale możemy decydować, komu ufamy, czym karmimy swoje myśli i jak chcemy żyć – mówi dr Agnieszka Kozak, psycholożka, psychoterapeutka, autorka książek o relacjach i rozwoju osobistym

Anita Czupryn



FOT. PAP/ŁUKASZ GĄGULSKI

Agnieszka Kozak: Lęk natomiast jest informacją, która mówi: coś podobnego już się wydarzyło, więc może wydarzyć się ponownie. My, ludzie, zawsze będziemy żyli z taką emocją jak lęk, choć bardzo chcielibyśmy się jej pozbyć

Po tragedii w Krakowie wróciłam z podróży do Warszawy, wsiadłam do tramwaju i przypomniałam sobie, czego uczono mnie na zajęciach krav magi: trzeba uważnie rozejrzeć się po wagonie, przyjrzeć pasażerom, sprawdzić, czy ktoś nie wzbudza naszego niepokoju. Jednocześnie wpadło mi do głowy, że wcale nie czuję się przez to bezpieczniej. Jak nie zacząć podejrzewać każdego nieznajomego o złe zamiary?

Jeśli będziemy się koncentrować na tym, jak nie zacząć podejrzewać innych, prawdopodobnie pojawi się strach. Warto zacząć dostrzegać, że wokół nas są również dobrzy ludzie. Kiedy odczuwamy strach, lęk, niepokój czy napięcie, tym, co nas stabilizuje, koi i daje nam poczucie bezpieczeństwa, są bezpieczne relacje. Warto więc skierować uwagę na to, kogo mam wokół siebie, kto jest dla mnie źródłem bezpieczeństwa, do kogo mogę się zwrócić. W sytuacji zagrożenia potrzebujemy przypomnieć sobie, co daje nam ochronę, opiekę i poczucie bezpieczeństwa.

Słucham pani podcastów i pamiętam, że mówiła pani, żeby działać mimo lęku. Ale przecież strach bywa mądry, potrafi uratować życie. Czy zachęcając ludzi do odwagi, nie ryzykujemy, że zaczną lekceważyć instynkt samozachowawczy?

Rozróżnijmy strach i lęk. Strach jest odpowiedzią na realną sytuację. Jeśli ktoś jedzie obok mnie samochodem z bardzo dużą prędkością, będę czuła strach, bo nie wiem, czy nie spowoduje wypadku. Lęk natomiast jest informacją, która mówi: coś podobnego już się wydarzyło, więc może wydarzyć się ponownie. My, ludzie, zawsze będziemy żyli z taką emocją jak lęk, choć bardzo chcielibyśmy się jej pozbyć. On też jest ważną informacją. Mówi nam: słuchaj, ta sytuacja przypomina coś, czego już kiedyś doświadczyłeś. Podam przykład. Wielu ludzi mówi, że boi się wystąpień publicznych. Boją się wystąpić na konferencji, przed szefem, przed grupą współpracowników. Wtedy pytam: czy twój szef kiedykolwiek zachował się wobec ciebie źle? Nakrzyczał na ciebie? Często okazuje się, że nie. Nie ma więc realnego powodu, żeby bać się jego reakcji. Ale może pojawić się lęk, który przypomina o wcześniejszym doświadczeniu. O sytuacji, w której staliśmy przed grupą ludzi i spotkało nas coś trudnego. I paradoksalnie bardzo często wracamy wtedy do szkoły podstawowej. Staliśmy przed całą klasą, nauczyciel nas odpytywał, a my czegoś nie wiedzieliśmy, nie umieliśmy odpowiedzieć. Wtedy za to groziła kara w postaci dwói a w domu w postaci krzyku czy nawet lania. Wracając do tu i teraz zadaję pytanie: co najgorszego może się wydarzyć podczas dzisiejszego wystąpienia? „Nie będę umiał odpowiedzieć na zadane mi pytanie". Lęk wtedy delikatnie szepcze: pamiętasz, kiedyś też nie umiałeś odpowiedzieć. Zostałeś za to ukarany albo zawstydzony. To może się powtórzyć. Mogę go słuchać, ale mogę też jako dorosły człowiek, który ma już swoje zasoby, powiedzieć sobie: tak, to wydarzyło się kiedyś, kiedy byłem bezbronnym dzieckiem, kiedy nie umiałem się przygotować, nie miałem odpowiedniej wiedzy. Dzisiaj jestem specjalistą, świetnie znam wyniki, które będę prezentować. Nie muszę bać się, że ktoś zada mi pytanie, na które nie odpowiem, i spotka mnie za to kara. Możemy więc poznawczo odzyskiwać panowanie nad sytuacją. Rozumiem, co się ze mną dzieje, wiem, jak mogę się zachować i na co mam wpływ. Wracając do sytuacji z Krakowa, oczywiście nie mamy wpływu na to, czy jakiś człowiek zaatakuje kogoś niespodziewanie. Tego nie jesteśmy w stanie kontrolować. Ale mam wpływ na to, co dzieje się ze mną teraz, jak widzę swoją rzeczywistość, w której jestem po tej tragedii, do czego mocnego w sobie mogę się odwołać.

Czy w ogóle można nauczyć się nie bać?

Myślę, że nie. Jako psychoterapeuci mówimy, że nie można całkowicie przestać odczuwać lęku. Można natomiast nauczyć się go

eprasa.pl 02fa9cb6db

rozumieć, można nauczyć się z nim rozmawiać i zdecydować, że nie będzie miał nad nami władzy. Rozumiem, czego się boję i skąd ten lęk się bierze, ale odbieram mu władzę, nabywając nowe kompetencje, prosząc o informację zwrotną albo o wsparcie. Przejdźmy do bardziej codziennego przykładu. Czy zdarzyło się pani przechodzić samotnie przez ciemny park i zostać zaatakowaną?

Nie zostałam zaatakowana, ale poczułam się nieswojo. Pomyślałam wtedy, że spacer w parku późną porą to nie jest dobry pomysł.

Prawdopodobnie pojawiła się pani w głowie myśl: jestem sama w tym parku, ktoś może zrobić mi coś złego. Ważne, żeby taką myślą się podzielić i poprosić o wsparcie. Nie muszę przecież sama chodzić przez ciemny park. Mogę komuś powiedzieć, że odczuwam lęk, niepokój, napięcie, i poprosić, żeby mnie odprowadził albo podwiózł. Mogę też zdecydować, że pójdę inną drogą. W sytuacji lęku, choć moim zdaniem dotyczy to również innych emocji, szczególnie potrzebujemy nauczyć się zapraszać ludzi do naszego świata. Opowiadać im o swoim lęku i prosić, żeby coś z nami albo dla nas zrobili, co pomoże ten lęk ukoić. Bo często jest to lęk bezsilnego, bezbronnego dziecka, które przecież wciąż w nas jest i pamięta wiele rzeczy, w których zostało samo i nikogo to nie obchodziło. To wychodzenie do relacji pozwala nam zacząć wierzyć, że jednak kogoś to obchodzi i że nie musimy być ze wszystkim sami. Drugi człowiek może być dla nas bezpiecznym miejscem. Oczywiście, jeśli idziemy nocą przez ciemny park, zagrożenie może być realne. Podejmuję więc decyzję, czy chcę tamtędy przejść. I to jest bardzo ważne: nie namawiamy ludzi, żeby zawsze działali pomimo lęku. Samotny spacer kobiety przez park w nocy może wiązać się z ryzykiem. Ale jeśli zaczynam bać się przejść przez ten sam park w ciągu dnia albo w ogóle boję się wychodzić z domu, również za dnia, to znaczy, że lęk przejmuje nade mną władzę i kontrolę.

Zdarzyło się pani zrezygnować z czegoś ważnego ze strachu? I później tego żałować?

Trudno mi teraz przypomnieć sobie konkretną sytuację, ale myślę, że na pewno. Z lęku przed oceną, przed tym, że coś źle się dla mnie skończy. Tak, na pewno mi się to zdarzało.

Pamięta pani moment, kiedy mimo ogromnego lęku zdecydowała się zrobić coś ważnego? Co pomogło pani zrobić pierwszy krok?

Zaufanie, że to, co robię, jest ważne i potrzebne. Ludzie pytają mnie o to, co robię w życiu zawodowym, i zakładają, że się nie boję. A ja mówię: bardzo się boję, ale to trzeba zrobić. Po prostu trzeba. Trzeba się tym zająć, trzeba to powiedzieć, trzeba stanąć po właściwej stronie, trzeba postawić granice przemocy, trzeba być prawym i dobrym człowiekiem. Wierzę, że wybieranie z poziomu wartości to budowanie bezpiecznego gruntu, bo wartości mnie stabilizują. Pomagało mi też zawsze zaufanie, że robię dobre rzeczy, że to, co robię, będzie czemuś służyło, że nie jest działaniem dla samego działania, dodaje mi odwagi. Proszę zobaczyć, że w słowie „odwaga" ukryte jest słowo „waga". Jeśli wierzę, że coś jest ważne, chcę to zrobić. Bo czego właściwie się boję? Że komuś się to nie spodoba, że zostanę negatywnie oceniona. I tutaj dochodzimy do zjawiska, które niestety bardzo się rozwija: hejtu. Można zostać zhejtowanym, naprawdę zabitym słowami, jak kamieniami, w ciągu zaledwie kilku dni. Myślę więc, że w obliczu tej tragedii potrzebujemy podjąć temat przemocy jako takiej. Również przemocy słownej, na którą jest przyzwolenie w postaci zdania „przecież i tak tego nie zatrzymasz". Bardzo porusza mnie to, co dzieje się w mediach. Widziałam, jak szeroko rozeszła się moja rolka, w której mówiłam, że mamy wybór. Oczywiście wydarzyła się tragedia, ale możemy teraz koncentrować się na kolejnych strasznych szczegółach, na tym, co piszą ludzie, na okropnych, obrzydliwych komentarzach, które uderzają również w rodzinę człowieka, który zginął. A możemy zobaczyć coś, co mimo wszystko było światłem nadziei w tej tragedii. Że policjant, który miał doświadczenie wojskowe, podjął działanie, że w pobliżu byli chirurdzy, że ludzie natychmiast podbiegli i udzielali pomocy. Wie pani, ja wręcz zabroniłam wszystkim rozmawiać ze mną o kolejnych negatywnych szczegółach tego wydarzenia. Nie dlatego, że jestem naiwna, ale dlatego, że chciałam skoncentrować się na tym, że była tam opieka, że ludzie natychmiast zareagowali, zrobili tyle, ile mogli. To przywraca mi wiarę w człowieka. Daje nadzieję, że świat potrafi odpowiedzieć dobrem, że dobro ma twarz konkretnego człowieka, który dokonuje wyboru jak zachowa się wobec zła. Mamy wybór, na czym skupimy uwagę i gdzie nas ta uwaga zaprowadzi. I żeby było jasne: nie chcę w żaden sposób umniejszać tragedii. Ale możemy wciąż wracać do tego, co straszne, nakręcać się negatywnymi emocjami, a możemy powiedzieć sobie: w tej ciemności było też dużo światła.

Ludzie pytają mnie o to, co robię w życiu zawodowym, i zakładają, że się nie boję. A ja mówię: bardzo się boję, ale to trzeba zrobić

AGNIESZKA KOZAK
psycholożka, terapeutka

Dopytam jeszcze, co pani robi, kiedy docierają do pani wiadomości o kolejnej tragedii, przemocy, nieprzewidywalnym ataku? Ma pani własne sposoby przywracania sobie spokoju?

Moje sposoby są dosyć proste. Już powiedziałam, że nie pozwalam, żeby w mojej obecności bez końca o tym rozmawiano. Byłam przerażona, kiedy ludzie zaczynali opowiadać kolejne detale, kolejne szczegóły, wyciągać następne negatywne historie. Czułam narastające w moim ciele napięcie i zagrożenie. Słowa to myśli, a myśli tworzą obrazy i emocje. To jest trochę jak wyciąganie wstążek z kapelusza: a była jeszcze taka tragedia, a wydarzyło się jeszcze to, a potem jeszcze tamto. Kiedy o tym wszystkim mówimy, odtwarzamy te wydarzenia, lęk i napięcie pojawiają się również w naszym ciele. I znowu to ja decyduję, czy wyciągam z pudełka czarne, czy kolorowe wstążki. Nie chodzi o zaprzeczanie rzeczywistości, ale o to, żeby mimo wszystko dostrzegać również to, co pozytywne. Przede wszystkim zaś nie karmić mózgu kolejnymi negatywnymi informacjami. Bo przecież sami decydujemy, czy nieustannie je śledzimy.

Eckhart Tolle pisał o „cielebolesnym", które mamy w sobie i ono niejako domaga się karmienia cierpieniem i negatywnymi emocjami. Czasami zauważam u siebie, że kiedy zaczynam narzekać, to właśnie dochodzi do głosu moje ciało bolesne. Ale jeśli człowiek przez kilkadziesiąt lat karmił się negatywnymi myślami, trudno mu nagle zmienić ten nawyk.

Ma pani rację. Bardzo ładnie użyła pani słowa „karmić". Ja lubię jeszcze inną metaforę: rośnie to, co podlewamy. Rośnie to, co nawozimy. Wyobrażam sobie, że każdy z nas chodzi po jakiejś ziemi. Nasze życie jest takim gruntem. I to ja decyduję, czy będzie on ruchomymi piaskami, czy żyzną glebą, o którą dbam, którą pielęgnuję i nawożę. Jeżeli moim codziennym gruntem są dobre, głębokie, bezpieczne relacje, to trudna sytuacja może mną na chwilę zachwiać, ale nie usunie mi ziemi spod nóg. Nie rozsypię się, nie rozpadnę, bo wiem, gdzie jest moje bezpieczeństwo. Dlatego tak ważne było dla mnie, żebyśmy w niedzielę, dzień po tragedii, spotykali się z bliskimi. Zawsze o to proszę: spotkaj się ze swoimi bliskimi, ale porozmawiajcie o tym, co dobrego jest między wami. Tragedia już się wydarzyła. Rozmawianie w nieskończoność o jej szczegółach nie zmieni tego, co się stało. Ale możemy powiedzieć sobie, jak dobrze, że mamy siebie, że możemy być razem, spotkać się, pobyć ze sobą. W niedzielę wieczorem usiedliśmy z przyjaciółmi przy stole. Było nas ośmioro. Rozmawialiśmy o tym, za co jesteśmy sobie wdzięczni, co dobrego wnosimy w swoje życie, co dobrego zabieramy z tego dnia. Był z nami znajomy, który nie spotyka się z nami na co dzień. Powiedział, że nigdy nie widział czegoś takiego: żeby z minuty na minutę rozpuszczało się napięcie, żeby pojawiała się taka lekkość i miękkość. A przecież po prostu siedzieliśmy razem przy stole, byliśmy tam dla siebie i mogliśmy się zatrzymać przy dobru. Świat na zewnątrz może zwariował, ale ten nasz świat, świat bliskich relacji, był dla nas stabilny i bezpieczny. Lubię słowo „bezpieczeństwo", bo ostatnio dostrzegam w nim „pieczę". Być bezpiecznym to być pod czyjąś pieczą. I zadaję sobie pytanie: co jest tą moją pieczą w życiu? Pieniądze na koncie? Czy ludzie, którzy mnie kochają i których ja kocham? Pyta mnie pani o bardzo osobiste rzeczy. Ostatnio niewiele osób mnie o to pytało. Ale skoro pyta pani, co mnie stabilizuje, to chętnie odpowiem, ponieważ zaprasza mnie Pani do ważnej refleksji. Mam w telefonie sześć osób, do których mogę zadzwonić o pierwszej, drugiej czy czwartej nad ranem i powiedzieć, że stało się coś złego. Wiem, że wsiądą w samochód i przyjadą. Będą przy mnie. Nie będą dyskutować, czy za chwilę, czy jutro, czy może trochę później. My wciąż za mało ufamy sile bezpiecznych więzi. Bezpiecznych, czyli przypieczętowanych obecnością. Bo bezpieczeństwo nie polega na tym, że ktoś mówi: „w razie czego możesz na mnie liczyć". Polega na tym, że kiedy przychodzi to „w razie czego", naprawdę jest i nie muszę przy nim "porządkować" emocji, ale mogę przy nim być ze wszystkim, co we mnie jest. I może właśnie to jest jedna z najgłębszych form miłości: nie obiecywać, że nigdy nie wydarzy się nic złego, ale dawać pewność, że kiedy coś złego się wydarzy, nie będziemy przez to przechodzić sami. Bezpieczna więź nie usuwa burz z naszego życia. Sprawia, że nie musimy przechodzić przez nie samotnie.

Dobro ma twarz konkretnego człowieka, który dokonuje wyboru jak zachowa się wobec zła. Mamy wybór, na czym skupimy uwagę

AGNIESZKA KOZAK
psycholożka, terapeutka

Mówi pani także o zaufaniu do siebie. Co to właściwie znaczy?

Że mam wiedzę i umiejętności, które pozwalają mi zachować się w różnych sytuacjach. Pamiętam, jak budowałam dom. Niektórzy znajomi pytali mnie, czy się nie boję. Co, jeśli stracę pracę i nie będę mogła dokończyć budowy? Odpowiadałam: to wtedy będę się martwić. Mam wrażenie, że jesteśmy społeczeństwem braku. Ciągle myślimy o tym, czego może nam zabraknąć. Pytamy: „A nie boisz się, jak to się skończy?". Nie żyjemy obfitością, wdzięcznością za to, co mamy teraz. Jeśli jutro coś się skończy, będziemy się tym jutro zajmować. A my zachowujemy się tak, jakbyśmy bali się zjeść ciastko, bo jutro już go nie będzie. Odkładamy je więc na jutro, a jutro okazuje się suche. Tymczasem dzisiaj mamy świeże, dobre ciastko.

Przypomniało mi się jeszcze jedno nasze powiedzenie: „Nieszczęścia chodzą parami". W styczniu miałam poważny wypadek. Spadłam ze schodów w Zamku Ujazdowskim, złamałam rękę i bark. Była karetka, szpital, operacja, wiele nocy w bólu. Ale wtedy zobaczyłam, że kiedy pojawia się nieszczęście, często tuż obok pojawia się szczęście. Pomoc, troska innych ludzi, życzliwość. Podobnie można spojrzeć na to, co wydarzyło się w Krakowie.

Niektórzy powiedzą, że to naiwność, racjonalizowanie. A moim zdaniem to wybieranie, czym się karmimy, co podlewamy.

Wróćmy do zaufania. Czy można nauczyć się ufać ludziom, jeśli już raz się do nich zaufanie straciło?

To ciekawe pytanie, bo prawdopodobnie straciliśmy zaufanie do kogoś konkretnego. Dlaczego ktoś inny ma być za to karany? Myślę, że możemy nauczyć się oddzielać ludzi od siebie. Ktoś jeden mnie zdradził, ale to nie znaczy, że wszyscy zdradzają. Nie wpadajmy w myślenie tunelowe: skoro jeden człowiek mnie zawiódł, to wszyscy mnie zawiodą. Nawet jeśli zawiodło mnie dziesięciu, to nadal nie znaczy, że zawiodą wszyscy. Nie

eprasa.pl 02fa9cb6db

POLITYKA



FOT. PAP/ŁUKASZ GĄGULSKI

Agnieszka Kozak: Mamy wybór, jak się zachowamy. Mamy wybór, co powiemy. Mamy wybór, co zrobimy z naszymi myślami. A my jednak bardzo często zachowujemy się jak bezwolne istoty

twórzmy sobie samospełniającej się przepowiedni. Pięć osób odmówiło mi pomocy, ale szósta być może mi pomoże. A m lubimy myśleć zero-jedynkowo. Jedno złe doświadczenie i skreślamy wszystkich. Ja mam tak, że ufam ludziom na wejściu. Daję im sto procent zaufania. Mogą je stracić, ale nie zaczynam relacji od nieufności. I bardzo często słyszę od ludzi, z którymi pracuję, współpracuję albo których zapraszam do współpracy, że to ich niezwykle uskrzydliło i pozwoliło im się rozwinąć. Że miałam do nich więcej zaufania, niż oni sami mieli do siebie. Bo właśnie tak to działa. To zaufanie staje się dla nich czymś w rodzaju biletu.

Co traci człowiek, który z góry zakłada, że innym nie można wierzyć?

Traci wiele szans na dobre życie. Niedawno rozmawiałam z przyjacielem o drodze, którą przeszedł. Zaczął przypominać mi różne wydarzenia: tutaj się spotkaliśmy, potem zaproponowano mu coś innego, później wydarzyło się jeszcze coś. I mówi: „Patrz, Aga, to wszystko składało się na to, że jestem dzisiaj w tym miejscu". Odpowiedziałam: „Nie, to nie tylko tak się składało. Ty na wszystkie te propozycje odpowiadałeś: dobrze". Dobrze, czyli zgadzam się. Dobrze, czyli zrobię to. Jeśli nie ufamy ludziom, tracimy wiele szans na rozwój, na doświadczenie czegoś nowego, na spróbowanie, jak by to było, gdybyśmy podjęli jakąś decyzję. Tracimy też okazję, żeby nauczyć się nowych rzeczy.

Po takich tragediach jak ta w Krakowie jedni potrzebują spokoju i samotności, inni szukają bliskości. Za chwilę rozpoczną się świąteczne jarmarki, a już słyszę od ludzi, że nie zamierzają chodzić w tłumie. Czego najbardziej potrzebujemy w takich chwilach?

Na pewno ukojenia. Pytanie, co kogo koi. Mnie osobiście zawsze koi relacja, w której ktoś mówi: „Jestem. Jestem blisko. Jestem tu dla ciebie". Nawet nie chodzi o zapewnienie, że będzie zawsze, bo to też byłoby naiwne. Nikt nie może nam obiecać, że będzie z nami do końca życia. Ale samo „jestem" ma ogromną moc kojącą. „Jestem tu dla ciebie. Widzę cię. Słyszę cię. Jesteś dla mnie ważny". To moje ulubione zdania. Bardzo lubię je mówić i bardzo lubię je słyszeć. Nie musimy od razu być odważni. Nie musimy udowadniać, że się nie boimy. Czasem wystarczy, że ktoś będzie obok, dopóki znowu nie poczujemy gruntu pod nogami.

Jest jeszcze jedno powiedzenie, które często słyszymy od dzieciństwa: „Umiesz liczyć, licz na siebie". To dobry sposób na życie?

Wie pani, bardzo ciekawe jest to, co pani dzisiaj przytacza, bo to wszystko wiąże się z moją książką „Uwięzieni w słowach rodziców". Kiedy pani słucham, myślę sobie, ile mamy w Polsce negatywnych powiedzeń. Takich zaklęć, które nam towarzyszą. „Jak chcesz mieć coś dobrze zrobione, zrób to sama". „Nieszczęścia chodzą parami". „Umiesz liczyć, licz na siebie". A przecież zamiast mówić, że nieszczęścia chodzą parami, możemy zauważyć, że obok nieszczęścia pojawia się również szczęście. Potrzebujemy budować własne, wspierające przekonania. Zamiast powtarzać „Umiesz liczyć, licz na siebie", mogę sobie powiedzieć: „Mogę policzyć, ilu mam przyjaciół". Do każdego takiego społecznego powiedzonka, które zamyka nas w jakiejś pułapce, możemy stworzyć własne przekonanie. Możemy powiedzieć: nie chcę wierzyć we wszystko, co próbujecie mi wcisnąć. I to jest bardzo ważne.

Są jakieś ćwiczenia, które pomagają oswoić strach i odzyskać odwagę? Co by pani zaproponowała?

Z mojej dziedziny zaproponowałabym przede wszystkim pracę ze słowem. To, co myślimy, wpływa na to, jak się czujemy. Jeśli myślę, że wszyscy ludzie są źli i że trzeba się ich bać, będę odczuwać napięcie. Ale mogę też myśleć inaczej: wokół mnie jest wielu dobrych ludzi. Oczywiście czasami spotykam osoby, które mają złe intencje, ale mogę decydować, z kim jestem i z kim spędzam czas. Historią, którą opowiadam sobie o sobie i o świecie, wpływam na swoje uczucia. To bardzo ważne, żeby zobaczyć, że mamy wpływ na to, w jaką narrację wchodzimy i jakie zdania wypowiadamy. Możemy dostrzec, że rzeczywistość nie jest zero-jedynkowa. Czasami rzeczywiście muszę liczyć na siebie, ale czasami mogę poprosić o pomoc. Trudno mi podać jedno konkretne ćwiczenie, bo myślę, że przede wszystkim potrzebujemy nauczyć nasz mózg dostrzegać, że mamy wybór. Mamy wybór, jak się zachowamy. Mamy wybór, co powiemy. Mamy wybór, co zrobimy z naszymi myślami. A my jednak bardzo często zachowujemy się jak bezwolne istoty. Mówimy: „Nie mam wyboru", jakby sprawczość w ogóle nie była w naszych rękach. A przecież możemy być kreatorami własnego życia. Dużo zależy od tego, jaki scenariusz sobie napiszemy. Jakie słowa wybierzemy. Mogę powiedzieć: „Jestem głupia", a mogę powiedzieć: „Lubię swoją inteligencję". Niezależnie od tego, jaka ona jest, lubię swoją inteligencję. Mam całkiem sporą wiedzę, potrafię zachować się w różnych sytuacjach. To buduje we mnie poczucie siły. Zdecydowanie bardziej ufam komuś, kto zna swoje zasoby, swoje możliwości i wie, kim jest. Mam też wybór, czy będę podziwiać policjanta, który zachował się jak bohater, czy będę pluć jadem na człowieka, który już nie żyje. To cały czas mój wybór, jaką historię będę opowiadać.



FOT. GEOPOLITICAL FUTURES

Agnieszka Kozak

Psycholożka, psychoterapeutka, wykładowczyni akademicka . Trenerka komunikacji opartej na empatii (NVC – Nonviolent Communication), a także autorka książek i szkoleń. Prowadzi kanał w serwisie YouTube.

eprasa.pl 02fa9cb6db

FILM



FOT. CC

Główny bohater, Randle McMurphy, (Jack Nicholson) to symbol buntownika skazanego na klęskę

Czy „Lot nad kukułczym gniazdem" wciąż budzi emocje?

W środę, 19 listopada 1975 roku na ekrany amerykańskich kin wszedł „Lot nad kukułczym gniazdem" w reżyserii Miloša Formana. Przyniósł mu 5 Oscarów, 6 Złotych Globów i 6 Nagród BAFTA

Mariusz Grabowski

Można rzec, że ten film, metafora systemu, który wymaga od ludzi całkowitego posłuszeństwa i uniformizacji, jest dziś aktualniejszy niż kiedykolwiek. A główny bohater, Randle McMurphy, grany przez Jacka Nicholsona, to symbol buntownika skazanego – niczym w greckiej tragedii – na klęskę.

W kręgach hipisów

Nie wiadomo, kiedy Miloš Forman przeczytał powieść Kena Keseya z 1962 roku. W książce Andreas Halskova „Directed By Milos Forman: An Oral History of His Life and Films" stoi, że jeszcze w Czechosłowacji, przed wyjazdem do Stanów. Ale to nieprawda, bo – jak sam reżyser mówił w wywiadach – nie znał jeszcze wtedy angielskiego.

Stało się to zapewne już w Ameryce, do której wyjechał w 1968 r. na zaproszenie Paramount Pictures. I to zapewne szefowie wytwórni zaproponowali mu ekranizację tej powieści. Była ona popularna w kręgach hipisów, kontestatorów i młodzieży, choć trudno było znaleźć filmowca, który odważyłby się lub – co ważniejsze – umiałby przenieść ją na ekran.

Co ciekawe, sam Kesey, który wcześniej sprzedał prawa do książki wytwórni, publicznie oświadczył, że nie podoba mu się osoba reżysera z Europy i dokonana korekta fabuły (dokonali jej wynajęci przez Paramount Bo Goldman i Lawrence Hauben). A po premierze pozwał twórców filmu do sądu i – co było do przewidzenia – przegrał.

Liczymy forsę

Film powstał błyskawicznie, w niecałe trzy miesiące, w Szpitalu Psychiatrycznym Oregon State Hospital w Salem oraz miejscowość Depoe Bay. Wytwórnia przeznaczyła nań 3 mln dolarów, co okazało się prawdziwie kapitalistycznym złotym biznesem – film o antysystemowym buntowniku przyniósł producentom 240 mln zysku. Wśród nich widnieją Michael Douglas oraz Saul Zaentz, szara eminencja branży filmowej. Nic dziwnego, że w przedsięwzięciu uczestniczyła firma podwykonawcza Zaentza – Fantasy Films.

Nazwisko Douglas pojawia się tu nieprzypadkowo – początkowo do roli głównego bohatera „Lotu...", czyli McMurphy'ego, drobnego oszusta, pijaczka i karciarza, typowano Kirka Douglasa. Aktor skończył właśnie pracę na planie „Bez zobowiązań" i tylko czekał na kolejną okazję do pokazania swej legendarnej muskulatury. Sęk w tym, że był już cokolwiek za stary i nazbyt kojarzony z hollywoodzkim mainstreamem. Dziś sama myśl, że mógłby uchodzić za młodzieniaszka, wydaje się wręcz zabawna.

Do roli McMurphy'ego wybrano Nicholsona i był to kandydat niemal idealny. Niemal, bowiem miał jedną wadę – od początku darł koty z Formanem.

Plan jako rykowisko

Wspomniany Andreas Halskov sugeruje, że poszło o jedną z drugoplanowych aktorek, do której wdzięków obaj czuli pociąg; z innych źródeł wynika z kolei, że chodziło o hierarchię. Nicholson czuł się gwiazdą, jawnie lekceważył reżysera, spóźniał się, popijał i bumelował – słowem był odpowiednikiem McMurphy'ego w realu.

Poza tym był sławny. Za rolę detektywa Jake'a Gittesa w thrillerze kryminalnym Romana Polańskiego „Chinatown" z 1974 r. dostał górę laurów i opinie „ostrego, groźnego i agresywnego bohatera, który wiedział, »jak przeskoczyć« każdą przeszkodę, jaka stanie mu na drodze". Taką laurkę wystawił mu Roger Ebert, zdobywca Pulitzera, jedna z najbardziej znanych postaci w środowisku ówczesnej krytyki filmowej.

Trudniej było znaleźć odtwórczynię roli siostry Ratched. Ostatecznie wybrano Louise Fletcher, mało znaną aktorkę z filmu Roberta Altmana „Złodzieje jak my". Chociaż była sympatyczna i miała cichy głos, jej niebieskie oczy potrafiły w mig zmrozić krew – dokładnie takie, o których pisał w swej powieści Kesey. Idealnie pasowała na nadzorczynię państwowego szpitala, który w imię rzekomego „dobra ogółu" i porządku niszczy ludzką godność i psychikę.

Na pewno komunizm?

Kilka tygodni wspólnej pracy Formana i Nicholsona przypominało starcie samców alfa, ale efekt był zaskakujący. Powstał obraz oddziału psychiatrycznego jako miniatury opresyjnego systemu. Instytucja nie służy leczeniu, lecz kontrolowaniu, uniformizacji i łamaniu jednostek. Zasady są sztywne, a każdy przejaw spontaniczności czy indywidualizmu jest natychmiast karany.

W połowie lat 70. kojarzyło się to natychmiast z komunizmem zza Żelaznej Kurtyny. Ale co wnikliwsi wskazywali, że metafora jest bardziej uniwersalna i odnosi się do każdej społeczności i każdego ustroju, w którym zasady etyczne poświęcono na rzecz ideologicznego pragmatyzmu. Dziś, kiedy totalitaryzmy przyjmują najróżniejsze formy słychać głosy, że „Lot..." przypomina bardziej realia globalnej korporacji albo filozoficzne sny Juwala Hararigo czy Klausa Schwaba.

Niebezpieczeństwo, że pieczę na ludźmi sprawować będzie jakaś bezwzględnie uśmiechnięta siostra Ratched, wyposażona w możliwość wysłania każdego niepokornego na lobotomię, nie zmniejszyło się ani trochę. I w tym sensie film pozostaje wciąż aktualny.

Co na to Forman

W wydanym w 1996 roku tomie „Moje dwa światy. Wspomnienia" Miloš Forman tak pisał o swoim filmie: „To odwieczny konflikt między jednostką a instytucją. Ludzie tworzą najróżniejsze instytucje, pragnąc uczynić świat sprawiedliwszym i bardziej racjonalnym. Dzisiejsze życie byłoby niewyobrażalne bez szkół, sierocińców, sądów, instytucji rządowych, a także zakładów dla umysłowo chorych, a przy tym ledwie te niezbędne instytucje powstaną, zaczynają zdobywać ogromną władzę nad człowiekiem, zaczynają nim kierować, dyrygować, osaczać. We własnym interesie umacniają w ludziach niesamodzielność i uległość, bowiem silne osobowości stanowią dla nich zagrożenie".

Zaś w artykule dla „New York Times" z 2012 r. dodawał już bez ogródek, że losy McMurphy'ego przypominały mu jego doświadczenia. „Partia komunistyczna była moją siostrą Ratched. Mówiła mi, co mogę zrobić, a czego nie mogę. Co mogę mówić, a czego nie mogę. Gdzie mogę iść, a gdzie nie. Nawet kim mogę i nie mogę być".

O czym to jest?

Film był poruszający, ale „gorący" nawet jak na liberalne Stany Zjednoczone ery Geralda Forda. Chociaż twórcy byli przekonani, że mają w swoich rękach świetny film, z trudem znaleźli dystrybutora. „Wszystkie studia nam odmówiły" – wspominał Douglas w rozmowie z „Entertainment Weekly".

Na dystrybucję zgodziło się dopiero United Artists, do którego twórcy zwrócili się na samym końcu. Recenzje były dobre, nie popadały jednak w szczególny zachwyt. Co innego w przypadku „Szczęk" Stevena Spielberga, kinowego hitu 1975 r. o złośliwym rekinie ludojadzie.

Z czasem jednak „Lot..." obsypano taką lawiną nagród, że wszyscy zapomnieli o trudnych początkach dystrybucji. A także o tym, że film opowiada nie tyle o szpitalu psychiatrycznym, ile o Ameryce połowy lat 70., wstrząsach rewolucji obyczajowej końca lat 60., aferze Watergate i przegranej wojnie w Wietnamie.

„Kraina ludzi wolnych"

Film Formana klasyfikuje się gatunkowo jako dramat psychologiczny. Ale gdy spojrzeć nań od strony zjawisk społecznych, stanowi doskonały przykład tego, co krytyka lewicowa nazywa mianem komodyfikacji buntu. Innymi słowy wolny rynek, esencja liberalizmu, po raz kolejny dowiódł, że posiada niezwykłą zdolność do wchłaniania, neutralizowania i zarabiania na krytyce samego siebie. Zamiast zwalczać ruchy krytyczne, system zamienia ich symbole w produkty komercyjne, które można sprzedać z zyskiem.

Paramount Pictures zarobił krocie na filmie, który uderzał w świat, w którym wielkie wytwórnie filmowe stanowią jego centra propagandowe. Całe zastępy krytyków i recenzentów rozpływały się w swoich artykułach o „Locie..." na temat wolności, buntu i zniewolenia, ale istoty systemu nie zmieniło to w najmniejszym stopniu.

I choć Ameryka sama siebie nazywa „krainą ludzi wolnych", jest zarazem społeczeństwem technokratycznym, stawiającym jednostce nadzwyczaj wysokie wymagania socjalizacji i użyteczności. Kto się temu nie podporządkowuje, zostaje zmielony. Jak Randle McMurphy.

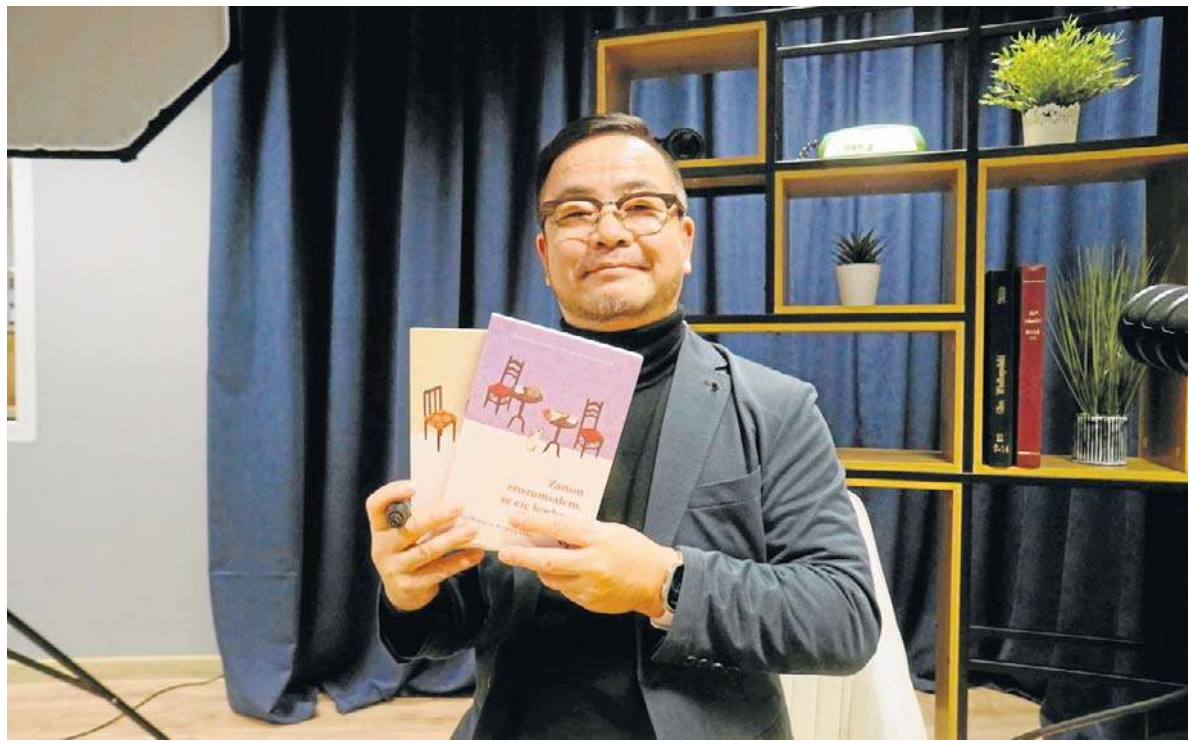
eprasa.pl 02fa9cb6db

LITERATURA

Książkami o kawiarniach i podróżach w czasie zachwycił cały literacki świat

W wieku 12 lat stracił ojca, a zanim został rozpoznawalnym na całym świecie pisarzem, był skromnym dramaturgiem. Bywały tygodnie, że musiał przeżyć za 200 jenów, czyli około 5 złotych. Teraz jeździ po całym świecie z cyklem książek „Zanim wystygnie kawa", która dla wielu ludzi w kryzysie ma leczniczą moc. – Nie chodzi o zwykłe „Nie poddawaj się!", a o zaakceptowanie siebie, także w trudnym momencie – mówi pisarz

Maciej Szymkowiak



FOT. WALDEMAR WYLĘGALSKI

Toshikazu Kawaguchi, 55-letni pisarz, producent, reżyser i scenarzysta. Autor cyklu „Zanim wystygnie kawa"

W Polsce przetłumaczono pana dwie powieści, gdy pierwszy raz się spotkaliśmy w 2023 roku. Teraz jest sześć. Co zmieniło się w pana życiu od tamtego czasu?

Cóż, chyba właśnie w okresie, kiedy ukazywał się drugi tom w Polsce, to przeżywałem w Japonii poważny kryzys twórczy.

Udało się panu go przezwyciężyć. W jaki sposób?

Znalazłem hobby, które naprawdę sprawia mi przyjemność. Jest nim wędkarstwo. Dzięki temu, że mam takie zajęcie, potrafię wyraźnie oddzielić czas pracy od czasu wolnego. Wcześniej właściwie cały czas tylko pracowałem i przez to gromadził się we mnie stres. Teraz łowienie ryb pozwala mi się zrelaksować.

Kiedy zaczynał pan swoją karierę, o ile dobrze pamiętam, nie miał pan zbyt dużo pieniędzy. Czy popularność, a co za tym idzie, większe zarobki, również wpłynęły na pana życie? I jak pan sobie radzi z tym, żeby nie uderzyła panu do głowy popularność?

Rzeczywiście był taki czas, kiedy musiałem przeżyć cały tydzień za około dwieście jenów. To naprawdę niewiele – wystarczało zaledwie na kilka bułek. W ogóle nie myślałem wtedy o podróżach, nawet tych po Japonii. Zastanawiałem się wyłącznie nad tym, jak przetrwać kolejny dzień. Moja sytuacja była tak trudna, że z perspektywy dzisiejszej Japonii wręcz trudno ją sobie wyobrazić. Dzięki temu, że tak wiele osób przeczytało moje książki, moje życie zmieniło się jednak nie do poznania. Zawsze marzyłem o tym, żeby zobaczyć Okinawę, i dopiero teraz mogłem spełnić to marzenie. Mogę tam jeździć, kiedy tylko mam ochotę. Jestem również w stanie podróżować za granicę. Krótko mówiąc, zyskałem możliwość robienia tego, na co mam ochotę.

Skąd wziął się pomysł kawiarni i związanych z nią podróży w czasie?

Kiedy tworzę historię, zawsze zaczynam od wymyślenia tytułu. W przypadku tej książki od razu przyszedł mi do głowy tytuł „Zanim wystygnie kawa". Zacząłem się więc zastanawiać, co ciekawego można zrobić w tak krótkim czasie. Pomyślałem, że interesującym pomysłem byłby powrót do przeszłości, ale tylko na ten krótki moment. Jeśli chodzi o inspiracje, my, Japończycy, od dzieciństwa znamy historię Doraemona, w której pojawia się motyw podróżowania w czasie i powracania do przeszłości za pomocą wehikułu czasu. Inną inspiracją był dla mnie film „Powrót do przyszłości", który bardzo lubię. Jego bohaterowie cofają się w czasie, aby spróbować zmienić rzeczywistość. Pomyślałem więc, że sam pomysł powrotu do przeszłości jest ciekawy. Uznałem jednak, że samo cofnięcie się w czasie nie wystarczy. Chciałem dodać do tej historii coś własnego, jakiś dodatkowy element. Wtedy pojawił się pomysł, że nawet jeśli ktoś wróci do przeszłości i podejmie wszelkie możliwe starania, nie będzie w stanie zmienić teraźniejszości. Kiedy ta koncepcja zaczęła się przede mną układać, pomyślałem, że może z tego powstać naprawdę interesująca historia.

Ile czasu zajmuje panu przygotowanie pierwszego rękopisu? Ile wersji trzeba później poprawić, zanim powstanie ostateczna książka, którą otrzymuje czytelnik?

Pierwsza książka zajęła mi zdecydowanie najwięcej czasu. Początkowo była to sztuka teatralna. Po obejrzeniu przedstawienia redaktorka zaproponowała mi, żebym przerobił ją na powieść. Od tego momentu do ukończenia książki minęło prawdopodobnie cztery albo pięć lat. Wcześniej nigdy nie napisałem powieści, więc nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Pisałem, ale nie wiedziałem, czy robię to właściwie. Bardzo dużo mnie to kosztowało i sprawiało mi sporo trudności. Ostatecznie, z różnych powodów, praca nad pierwszą książką zajęła mi cztery lub pięć lat. Największym wyzwaniem było poznanie zasad pisania powieści. Literatura rządzi się swoimi regułami i zrozumienie ich zajęło mi naprawdę dużo czasu. Poza tym opisy, czyli wszystkie fragmenty, które nie są dialogami, zupełnie różnią się od tego, z czym miałem do czynienia w teatrze. W teatrze mamy przede wszystkim dialogi. Wystarczy porozmawiać z aktorami i wspólnie można nadać przedstawieniu odpowiedni kształt. W powieści natomiast muszę samodzielnie napisać każde słowo, każde zdanie. Pamiętam, że sprawiało mi to ogromną trudność. Dlatego pierwsza książka powstawała tak długo. Przy drugiej i kolejnych miałem już doświadczenie zdobyte podczas pracy nad debiutem. Mogłem korzystać z wypracowanego wtedy sposobu pracy i dzięki temu zacząłem pisać jedną książkę mniej więcej co dwa lata, a czasem nawet w półtora roku.

Podczas spotkań z fanami wiele osób mówiło, że kocha pana książki. Wiem, że w Japonii tak otwarte okazywanie uczuć nie jest czymś typowym.

Rzeczywiście, zagraniczni czytelnicy reagują bardziej emocjonalnie. W ich wypowiedziach jest dużo takich deklaracji, o jakich pan wspominał. Japońscy czytelnicy również mówią mi, że lubią moje utwory albo że dana książka ich wzruszyła. Otrzymuję takie komentarze, ale być może nie są one aż tak nacechowane emocjonalnie. Ciekawe jest jednak to, że zarówno czytelników w Japonii, jak i na całym świecie wzruszają zazwyczaj te same fragmenty moich książek. Często słyszę na przykład o trzecim opowiadaniu z pierwszego tomu, dotyczącym siostry, która zmarła. Otrzymuję bardzo podobne komentarze od czytelników zarówno w Japonii, jak i za granicą. Różni się właściwie tylko sposób, w jaki wyrażają swoje emocje. Jeśli chodzi o konkretne historie związane z zagranicznymi czytelnikami, to za każdym razem, kiedy organizuję za granicą spotkania autorskie lub sesje podpisywania książek, zdarzają się naprawdę niezwykłe sytuacje. Podobnie było podczas Targów Książki w Krakowie. Przyjeżdżali tam ludzie z innych krajów, na przykład z Włoch, Węgier czy Czech, którzy specjalnie wybierali się na moje spotkanie i przywozili ze sobą książki w swoich językach. Podobna sytuacja wydarzyła się chyba dwa lata temu, kiedy byłem w Nowym Jorku. Przyjechała wtedy do mnie osoba aż z Gwatemali. Ten czytelnik opowiedział mi historię podobną do tej z trzeciego opowiadania pierwszego tomu, w którym umiera młodsza siostra bohaterki. On sam pokłócił się ze swoim starszym bratem, a potem brat zmarł. Rozstali się więc w gniewie i nie zdążyli się pogodzić. Nie wiedział, jak poradzić sobie z tymi uczuciami. Bardzo go to dręczyło. Pewnego dnia przypadkiem przeczytał moją książkę i natrafił na historię śmierci młodszej siostry w powieści. Pomyślał wtedy: „A więc można na to spojrzeć właśnie w taki sposób". Zrozumiał, że chociaż pokłócił się z bratem, z którym przez całe życie miał bardzo dobre relacje, to jego własne szczęście byłoby czymś, co również ucieszyłoby brata. Kiedy dowiedział się, że przyjeżdżam do Nowego Jorku, stwierdził, że nie może przepuścić okazji, żeby się ze mną spotkać.

eprasa.pl 02fa9cb6db



FOT. WOJCIECH MATUSIK

Na spotkania z pisarzem zawsze ustawiają się tłumy fanów

Czy historie przedstawiane w pana książkach są oparte na prawdziwych wydarzeniach?

Przede wszystkim inspirują mnie historie, które usłyszałem od bliskich znajomych, oraz wydarzenia, których sam doświadczyłem. Na przykład mój ojciec zmarł, kiedy miał trzydzieści osiem lat. Byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Myślę, że w moich książkach jest wiele takich elementów wynikających z osobistych doświadczeń. Z drugiej strony są też inne źródła inspiracji. Od dawna czytam książki, poznaję różne opowieści, oglądam anime i przedstawienia teatralne. Wszystkie te doświadczenia przez lata gromadziły się w mojej pamięci. Kiedy przychodzi moment, w którym postanawiam napisać historię opartą na określonym pomyśle, te wszystkie zapamiętane rzeczy zaczynają się ze sobą łączyć. Nagle przypominam sobie coś, o czym dawno zapomniałem. Myślę wtedy, że właśnie ta konkretna historia mogłaby dobrze pasować do rozmowy między dwojgiem bohaterów. Mam wrażenie, że w mojej głowie różne wspomnienia i doświadczenia łączą się ze sobą, a potem pojawia się nagłe olśnienie: to właśnie będzie pasować do tej opowieści.

Wracając do trzeciego opowiadania z pierwszego tomu, w którym pojawia się motyw śmierci młodszej siostry. Chodzi o scenę, w której bohaterka wyjaśnia osobie, która nie potrafi poradzić sobie z jej śmiercią, że nie może myśleć o tym, że odeszła po to, żeby tę osobę unieszczęśliwić. Powinna szukać własnego szczęścia.

Ta historia jest częściowo oparta na moim osobistym doświadczeniu. Nie wiem, czy powinienem o tym mówić, ale wydarzyło się to naprawdę. A właściwie dotyczyło mojej byłej partnerki, z którą się spotykałem. Rozstaliśmy się, ona wyszła za mąż i zaszła w ciążę, ale po około dziesięciu dniach poroniła. W tej sytuacji przyszła poradzić się właśnie mnie. Odpowiedziałem jej słowami podobnymi do tych, które znalazły się później w trzecim opowiadaniu pierwszego tomu. Powiedziałem, że nie powinna myśleć o dziecku, które przez dziesięć dni nosiła pod sercem, jako o kimś, kto pojawił się po to, żeby ją unieszczęśliwić. Przeciwnie, to dziecko z pewnością chciałoby, żeby znalazła w życiu szczęście.

Pamiętam, że podczas naszej poprzedniej rozmowy zapytałem pana, z kim chciałby się pan spotkać, gdyby mógł przenieść się w czasie. Odpowiedział pan, że z ojcem. Zakładam, że nic się w tej kwestii nie zmieniło. Co powiedziałby pan ojcu, gdyby mógł spotkać się z nim w przeszłości?

Tak. Wydaje mi się, że moja odpowiedź nie będzie się zbytnio różnić od tej poprzedniej. Chociaż ostatnio wydarzyło się coś, co może nieco ją zmienić. Gdybym mógł spotkać się z ojcem, powiedziałbym mu przede wszystkim, że wszystko dobrze się ułożyło. Mój ojciec zmarł w wieku trzydziestu ośmiu lat, więc przypuszczam, że martwił się o to, co stanie się z pozostawioną przez niego rodziną. Pamiętam, że podczas naszej poprzedniej rozmowy powiedziałem, że chciałbym mu przekazać, iż zostałem pisarzem, odniosłem sukces, mogłem przyjechać nawet do Polski i jestem szczęśliwy. Ostatnio jednak doszło do czegoś, co chciałbym mu również opowiedzieć. Ponieważ wydaję już kolejne książki, za każdym razem, kiedy ukazuje się nowa, chodzę razem z mamą do księgarni, żeby ją kupić. Pewnego razu mama powiedziała mi: „Naprawdę dobrze, że udało mi się tak długo żyć". Chciałbym przekazać ojcu, że mama jest szczęśliwa, ponieważ może razem ze mną chodzić do księgarni i kupować moje książki. To właśnie dzięki temu, że zostałem pisarzem, może przeżywać takie chwile. Mama ma obecnie osiemdziesiąt dwa lata. Chciałbym więc opowiedzieć ojcu konkretnie o tym, że mama dożyła takiego wieku, może cieszyć się moim sukcesem i mówi, że jest szczęśliwa. To właśnie chciałbym mu przekazać.

Pańskie życie było trudne aż do czterdziestego roku życia. Co powiedziałby pan młodym ludziom, ale nie tylko młodym, którzy zmagają się z różnymi problemami i często szukają w pana książkach odpowiedzi lub wskazówek?

Rzeczywiście, sam przeżywałem bardzo trudny, wręcz beznadziejny okres. Często musiałem się martwić o to, czy następnego dnia będę miał co jeść. Trudno mi jednak udzielać rad młodym ludziom. Być może byłoby to z mojej strony trochę zarozumiałe. Gdybym miał coś poradzić samemu sobie z tamtego okresu, powiedziałbym, żeby nie patrzeć wyłącznie wstecz. Nie chodzi mi o proste hasło: „Nie poddawaj się!". Mam raczej na myśli zaakceptowanie samego siebie takim, jakim się jest tu i teraz. Zaakceptowanie siebie, nawet jeśli czegoś nie potrafimy, jeśli przeżywamy trudny okres. Chodzi o to, żeby spojrzeć na swoją obecną sytuację, na to, co dzieje się dzisiaj, i z takim nastawieniem stawić czoła kolejnemu dniu. Chciałbym też opowiedzieć o pewnym doświadczeniu z mojego życia. Mam znajomego, który choruje na raka krtani. Prawdopodobnie zostało mu najwyżej około roku życia. Ma rodzinę, ma syna i zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Zapytałem go: „Co chciałbyś zrobić? Przede wszystkim powinieneś dobrze wykorzystać czas, który możesz jeszcze spędzić z rodziną". Powiedział, że chciałby gdzieś z nimi pojechać, wybrać się w podróż, ale niestety nie ma na to pieniędzy. Wpadłem więc na pomysł, żebyśmy wszyscy razem wybrali się w taką podróż. Chciałem, żeby mogli spędzić ze sobą czas, zbliżyć się do siebie i żeby to doświadczenie pomogło im zmierzyć się z tym, co czeka ich w przyszłości. Dlatego chciałbym, żeby moje książki również dawały ludziom taką nadzieję. Gdyby ktoś, kto przeżywa trudny okres, przypomniał sobie kiedyś: „Był taki pisarz, Kawaguchi, który napisał pewną historię", i dzięki niej poczuł się lepiej, bardzo by mnie to ucieszyło. Bardziej niż udzielanie komuś bezpośrednich rad zależy mi właśnie na takim wsparciu. Gdyby dzięki literaturze, dzięki temu, że ktoś poczuje bliskość z opisaną historią, potrafił w jakiś sposób poradzić sobie ze swoją sytuacją, byłoby to dla mnie naprawdę wspaniałe.

Czyli dostrzega pan leczniczy wpływ swojej literatury.

Jako pisarz jestem przecież tylko jednym człowiekiem i moje możliwości bezpośredniego wspierania innych są ograniczone. Mogę być blisko przede wszystkim moich znajomych i osób, które znam osobiście, ale książki mają niezwykłą moc. Dzięki nim moje historie mogą pozostać nawet wtedy, kiedy mnie już nie będzie. Być może za sto czy dwieście lat ktoś sięgnie po moje książki i dzięki opowiedzianym w nich historiom również poczuje, że ktoś jest przy nim, że nie jest sam. Kiedy o tym myślę, uświadamiam sobie, jak ważna jest literatura i jak wielką wartość ma książka, która może stać się dla kogoś wsparciem. Cieszę się, że jako pisarz mogę pozostawić po sobie coś takiego w postaci powieści.

Co najbardziej zaskoczyło pana w Polsce, a może konkretnie w Poznaniu?

Zawsze zachwyca mnie to, jak piękne są polskie miasta i ulice. Odczuwam coś podobnego do tego, co być może czują zagraniczni turyści, kiedy przyjeżdżają do Japonii, żeby zobaczyć Kioto. Ja pochodzę z Osaki, która znajduje się tuż obok, więc jestem przyzwyczajony do tamtejszych widoków. Kioto nigdy nie wywoływało we mnie szczególnego wzruszenia. Natomiast kiedy wyjeżdżam za granicę i jestem w Polsce, uderza mnie piękno tutejszych miast. Szczególnie pod wieczór.

Kawa czy herbata?

To bardzo trudne pytanie. Jestem Japończykiem, więc jestem przyzwyczajony do picia zielonej herbaty do posiłków. Kiedy jem, piję herbatę. Natomiast kiedy chcę się zrelaksować przed pisaniem, wybieram kawę. Na co dzień raczej herbata, a podczas pracy twórczej – kawa.

A ile litrów albo filiżanek dziennie?

Herbatę piję zawsze po jedzeniu, czyli po każdym posiłku. Jeśli chodzi o kawę, nigdy tego dokładnie nie liczyłem. Pewnie zależy to od tego, ile mam danego dnia pracy, ale wypijam do trzech filiżanek dziennie.

Czy jeśli ma pan czas, odwiedza pan polskie kawiarnie?

Podczas tego pobytu mój harmonogram jest bardzo napięty, więc tym razem nie miałem czasu zajrzeć do żadnej kawiarni. Natomiast w hotelu zawsze wybieram kawę na śniadanie.

A czy będzie film w Hollywood? Czy jest już w trakcie realizacji?

Tak. Problem polega na tym, że z powodu strajku scenarzystów, który miał miejsce jakiś czas temu, przesunęły się różne plany produkcyjne. Nie oznacza to jednak, że film został odwołany. Nadal jest planowany, ale nastąpiło pewne opóźnienie, dlatego nie mogę jeszcze zbyt wiele powiedzieć na ten temat. Nie jest to też coś, czym bardzo się stresuję ani na co szczególnie naciskam, żeby koniecznie powstało. Jestem natomiast bardzo ciekawy, jako twórca, w jaki sposób inni twórcy odczytają mój tekst i przeniosą go na ekran. Właściwie jeszcze bardziej ciekawi mnie to z perspektywy widza.

Jaka jest pana ulubiona polska potrawa?

Nie miałem czasu odwiedzać kawiarni, więc odpowiem: pierogi. Jadłem je już pierwszego dnia pobytu.

A kolejna książka będzie kontynuacją cyklu kawowego czy czymś zupełnie nowym?

W Polsce ukazało się dotychczas sześć części cyklu, natomiast w Japonii we wrześniu ukazał się już siódmy tom. Dopiero co. Teraz kolejnym krokiem będzie ponowna rozmowa z moją redaktorką i ustalenie, co robimy dalej. Wydaje mi się jednak, że będzie to kontynuacja serii kawowej.
Na tym właśnie najbardziej mi zależy.

eprasa.pl 02fa9cb6db

POD PARAGRAFEM

• Zbliża się 26. rocznica śmierci **Margot Bennett** (zmarła 6 grudnia 1980 r.), popularnej szkockiej autorki kryminałów. Napisała ich kilkanaście, cieszyły się sporym wzięciem, ale żaden nie został nigdy przetłumaczony na język polski.

LITERATURA

Kraków w stylu retro, czyli zagadki kryminalne sprzed wieków

Paweł Stachnik

W 2009 r. ukazała się książka Marka Krajewskiego „Śmierć w Breslau". Była to powieść o radcy kryminalnym Eberhardzie Mocku, który we Wrocławiu lat 30. zeszłego wieku prowadzi śledztwo w sprawie tajemniczego morderstwa pewnej arystokratki.

Książka – oprócz skomplikowanej intrygi, dawki makabry i oryginalnego bohatera –, wyróżniała się znakomitym odtworzeniem realiów przedwojennego Wrocławia. Autor poznawał niemiecki Breslau, zagłębiając się w opracowania naukowe, przedwojenną prasę, księgi adresowe, przewodniki i plany.

Nowy gatunek?

Efekt robił wrażenie: na kartach powieści radca Mock odwiedzał autentyczne restauracje, knajpy i szynki, zamawiał potrawy, które naprawdę w nich podawano, palił papierosy produkowanych wówczas marek i pił piwo warzone w ówczesnych śląskich browarach. Sprawy załatwiał w rzeczywiście istniejących wówczas instytucjach z prawdziwymi adresami przy przedwojennych ulicach.

Książka odniosła sukces, a zachęcony Marek Krajewski napisał potem cztery kolejne części przygód Mocka z akcją osadzoną w niemieckim Breslau. Wszystkie stały się bestselerami. To była nowa jakość w polskim kryminale. Wrocławskie powieści Krajewskiego zapoczątkowały w Polsce nurt kryminałów historycznych, nazwanych retro kryminałami.

Rychło zaczęły się pojawiać kolejne takie powieści dziejące się najczęściej u schyłku XIX w. lub w okresie międzywojennym w rozmaitych polskich (choć wtedy niekoniecznie polskich) miastach: Warszawie, Lublinie, Poznaniu, Gdańsku, Bydgoszczy (a nawet znacznie mniejszych, np. w Kłodzku, Wejherowie czy Grajewie). Każde lub prawie każde miasto zapragnęło mieć swojego własnego Mocka i swój własny kryminalny cykl.

Kryminał galicyjski

A jak w tej konkurencji wypada Kraków? Prymat przysługuje Krzysztofowi Maćkowskiemu, który już w 2007 r. stworzył pierwszy krakowski retro kryminał zatytułowany „Raport Badeni". Rzecz działa się – a jakże! – w czasach galicyjskich. W roku 1900 miejscowy inspektor c.k. policji Gustaw Mahler („Nie z tych Mahlerów" – wyjaśnia cierpliwie) prowadził śledztwo w sprawie śmierci warszawskiej studentki Justyny Badeni („Nie z tych Badenich").Dziewczyna być może popełniła samobójstwo, a być może została zamordowana, bo w jej śmierć zaplątani byli także agenci rosyjskiej ochrany.



Hawełka pod koniec XIX wieku To tutaj m.in. toczy się akcja „Raportu Badeni" autorstwa Krzysztofa Maćkowskiego

Fabuła zgrabnie poruszała się w młodopolskim Krakowie, na kartach powieści pojawiały się emblematyczne krakowskie miejsca (np. Hawełka, Cygarfabryka, Dyrekcja Policji), sporo też było humoru, a autor – do niedawna reporter działu miejskiego „Dziennika Polskiego" – zaszyfrował w niektórych wątkach odniesienia do swojej redakcji (występowała w „Raporcie" jako „Kurier Krakowski" z siedzibą przy ul. Wielopole). Powieść miała dobre przyjęcie, prawa do niej sprzedano za granicę i miała zapoczątkować cykl z inspektorem Mahlerem w roli głównej. Niestety, Mahler pozostał jednorazowo wykorzystaną postacią.

Staropolszczyzna

Również w 1900 r. toczy się akcja wydanej w 2011 r. powieści „Latarnie umarłych" Małgorzaty Kochanowicz (rodem z Włocławka). Stała się ona pierwszą częścią cyklu o Witoldzie Korczyńskim, tajemniczej postaci: uczestniku zamachu na carskiego urzędnika w Warszawie, emigrancie politycznym w Londynie, weteranie wojny burskiej. Po osiedleniu się w Krakowie ten milczący mężczyzna zostaje prywatnym detektywem i na zlecenie bogatych klientów rozwiązuje sprawy morderstw, porwań i szantaży. Cykl doczekał się jeszcze dwóch tomów („Poszukiwana" oraz „Krok w ciemność") i zdobył pewną popularność, choć wydaje się, że większą poza Krakowem niż w nim samym.

Zupełnie inny okres historyczny dla swojego retro kryminału wybrała natomiast para krakowskich pisarzy Małgorzata i Michał Kuźmińscy. W 2009 r. ukazała się ich powieść „Sekret Kroke". Była to wybuchowa mieszanina kryminału, powieści szpiegowskiej i sensacyjnej. Oto wiosną 1939 r. w Krakowie skrzyżowały się ścieżki niemieckiego szpiega, księcia Michaiła Romanowa (z tych Romanowów), hiszpańskiego zakonnika Carlosa i sławnego nożownika z Warszawy Maćka Messera. Wszyscy starali się zdobyć tajemniczy manuskrypt ukryty gdzieś pod Wawelem przez Bractwo Alchemików.

Brawurowo napisana powieść, w której pojawiały się skryte morderstwa, samochodowe pościgi i strzelaniny na ulicach Krakowa, romanse i walka wywiadów, była zamierzonym pastiszem wykorzystującym w zabawny sposób wątki z innych utworów kultury i popkultury (np. z powieści Dana Browna, „Imienia róży" Umberto Eco czy filmu „Nagi instynkt"). Wspomniany zakonnik Carlos nosił znaczące nazwisko Chacal, major polskiego kontrwywiadu to były łowca zwierząt Tomasz Wilmowski, żydowski mleczarz miał na imię Tewje, a pies tropiący krakowskiej policji wabił się Cywil...

Znacznie głębiej w historię – bo do okresu staropolskiego – sięgnął krakowski pisarz Mariusz Wollny. W 2007 r. ukazała się jego powieść „Kacper Ryx", opowiadająca o XVI-wiecznym studencie tutejszego uniwersytetu, zajmującym się rozwiązywaniem zagadek kryminalnych. Ryx stykał się z autentycznymi postaciami (m.in. Janem Kochanowskim, Łukaszem Górnickim, królem Zygmuntem Augustem) i rozwiązywał autentyczną sprawę kradzieży królewskiej pieczęci z Wawelu. Autor – historyk i etnograf –starannie odtworzył topografię renesansowego Krakowa oraz realia życia jego mieszkańców.

C.k. Galicja górą!

Powieść spodobała się, pisarz poszedł więc za ciosem i napisał kolejne tomy: „Kacper Ryx i król przeklęty", „Kacper Ryx i tyran nienawistny" oraz „Kacper Ryx i król alchemików". Ich akcja toczyła się w czasach panowania kolejnych królów: Henryka Walezego, Stefana Batorego i Zygmunta III Wazy. Łączyła kryminalne zagadki z elementami powieści płaszcza i szpady oraz starannie ukazanym tłem historycznym.

Ryx zdobył wielu fanów, nie tylko w Krakowie zresztą, i zaczął żyć własnym życiem. Autor prowadził spacery po mieście szlakiem swojego bohatera. Powstała specjalna aplikacja na telefon służąca jako przewodnik po Krakowie śladami wydarzeń opisanych w książkach, a także gra planszowa „Kacper Ryx i Król Żebraków". Popularność postaci dostrzegło także samo miasto, które włączyło Ryksa do swoich działań promocyjnych, a autora uhonorowało ławeczką literacką na Plantach.

Da capo

Tenprzegląd krakowskich powieści retrokryminalnych (niepełny, bo były jeszcze np. rozgrywająca się podczas okupacji „Noc zimowego przesilenia" Agnieszki Krawczyk czy „Najdłuższa noc" Macieja Dancewicza i Marka Bukowskiego, inspirowana nieudanym serialem „Belle epoque") zakończmy powrotem do tego, od kogo wszystko to się zaczęło.

Na początku 2022 r. Marek Krajewski opublikował swoją nową powieść zatytułowaną „Demonomachia". Jej akcja nie dzieje się jednak ani we Wrocławiu, ani we Lwowie, lecz w... galicyjskim Krakowie przełomu wieków. Bohater, niedoszły egzorcysta Stefan Zborski, walczy w niej z siłami nadprzyrodzonymi: demonami, diabłami, dybukami... A wokół mamy XIX-wieczny Kraków: młodopolskich artystów, żydowskich rabinów, c.k. policjantów i profesorów gimnazjalnych.

eprasa.pl 02fa9cb6db

PIŁKA NOŻNA

Niestety, to była prawdziwa bukaresztеńska tragedia

Wygrana 6:0 w Warszawie stawiała Polskę w roli faworyta rewanżu z Rumunią. Niestety, na National Arenie w Bukareszcie Biało-Czerwoni zawiedli i ponieśli porażkę 1:2 z mocno osłabionym outsiderem grupy 4. dywizji B Ligi Narodów UEFA

Z Rumunii Jaromir Kruk



FOT. GRZEGORZ WAJDA - BUKARESZT

Nasz futbol w wydaniu reprezentacyjnym leży już niemal na łopatkach. Odjeżdżają nam nawet średniacy...

Przed rewanżem z Rumunią w Polsce nie zakładano wpadki z drużyną Gheorghe Hagiego. Legenda rumuńskiej i światowej piłki nożnej po raz drugi piastuje stanowisko selekcjonera w ojczyźnie. Przed tą edycją Ligi Narodów Hagi zaraził optymizmem cały kraj, lecz na boisku piłkarzom kompletnie nie szło. 4 porażki w dywizji B zachwiały jego posadą, ale szkoleniowiec nie stracił wiary w zespół nawet w sytuacji, gdy w sobotę w Bukareszcie nie mógł skorzystać m.in. z Nicolaie Stanciu, Mariusa Marina, Valentina Mihaili, Denisa Dragusa czy Louisa Munteanu...

Wydawało się, że absencję wspomnianych graczy będzie znacznie trudniej zrekompensować niż nieobecność w naszej kadrze niedysponowanego Piotra Zielińskigo, w tej chwili bodaj naszego najlepszego piłkarza. Niestety, stało się inaczej...

– Polska ma bardzo dobrych piłkarzy – powtarzał Hagi, ale bardzo liczył na rehabilitację w rewanżu z Biało-Czerwonymi. Mało kto z rumuńskich kibiców oczekiwał wygranej, tamtejsi fani – także z konieczności – wciąż żyją piękną przeszłością, którą na boisku pisała generacja obecnego selekcjonera. Tymczasem niżej notowani Rumuni zagrali jednak w rewanżu z Polską z ogromną ambicją, nie widać też było żadnej różnicy w umiejętnościach piłkarskich na korzyść gości.

Jan Urban szczyci się tym, że wprowadza młodzież do reprezentacji, i tak w istocie jest. W Bukareszcie debiutowali Oskar Kubiak ze Slavii Praga, Bartosz Mazurek z RB Salzburg i Adrian Benedyczak z Kasimpasy. Od początku wyszedł też Kacper Potulski, wielki talent z Mainz 05, który zastąpił pauzującego za kartki Jana Bednarka. Bramkę dla Polski strzelił chwalony przez Jose Mourinho Marcel Reguła, zawodnik (jeszcze) Zagłębia Lubin. To był jednak – niestety – tylko gol honorowy, bo wcześniej Bartłomiej Drągowski został dwukrotnie pokonany.

Gospodarze o trafienia pokusili się dość łatwo, co nie dziwi, bo kadra Urbana – co chwila w różnych konfiguracjach osobowych, także w defensywie – broni słabo. Trener tłumaczy to oczywiście przebudową drużyny, lecz nie idą za tym konsekwencja w powołaniach i stabilizacja składu...

Prawda jest taka, że kolejną edycję Ligi Narodów zepsuliśmy w skandalicznym stylu. Poprzednio do spadku z dywizji A doprowadził Michał Probierz, w dywizji B zawodzi Urban i bardzo wiele wskazuje, że spotkanie ze Szwecją we Wrocławiu będzie dla niego pożegnaniem z prestiżową i doskonale płatną posadą.

Co z tego, że na papierze ma ciekawy skład, skoro w kadrze panuje niewyobrażalny chaos, a mentalnie drużyna wygląda katastrofalnie? Kibice mają już dość wstydu za zawodników, którzy nie szanują także dziennikarzy. To, że Urban ciekawie opowiada na konferencjach, nie daje gwarancji sukcesu zespołowi, który cofa się, a nie powinien... Zobaczymy, jakie będą konsekwencje bukaresztеńskiej tragedii, ale głębszego sensu w ewentualnym powierzeniu prowadzenia kadry w kolejnych kwalifikacjach obecnemu selekcjonerowi zupełnie nie widać...

Hagi liczył po cichu , że Tricolori powalczą o awans do Dywizji A Ligi Narodów. Ten wieczny optymista nie spodziewał się tak bardzo nieudanego początku rywalizacji i mocno przeżył jesienne porażki, a najbardziej klęskę z Polską w Warszawie 0:6. Po rewanżu może mieć jednak nadzieję na punkt zwrotny. W przeciwieństwie do fanów Biało-Czerwonych...

LIGA NARODÓW - DYWIZJA B

Rumunia - Polska 2:1

Bramki: Cicaldau 68, Man 72 - Reguła 82.

Rumunia: Hindrich - Ratiu (81 Morutan), Dragusin, Coubis, Eissat - Baluta - Cicaldau (81 M. Ilie), I. Hagi (67 Corbu), Dragomir - Man (73 Stoica), Coman (67 Birligea).

Polska: Drągowski - Cash (76 Pyrka), Potulski, Kubiak, Kiwior - Reguła (90+1 Skóraś), W. Nowak (90+1 Żukowski), S. Szymański, Zalewski - Świderski (70 Mazurek), Lewandowski (70 Benedyczak).

Żółte kartki: Dragusin, Baluta, I. Hagi, Ratiu, Eissat - Reguła, Kiwior. **Sędziował:** Gishamer (Austria).

Widzów: 45 827.

PIŁKA NOŻNA

Lewandowski: Za dużo było naszych błędów. Szkoda, bo remis był w zasięgu

Jaromir Kruk z Bukaresztu

W poprzednim meczu z Rumunią wygranym przez Polskę 6:0 Robert Lewandowski popisał się hat-trickiem. Rewanż napastnikowi Chicago Fire nie wyszedł, przegraliśmy 1:2 i nasz zespół jest zagrożony spadkiem z Dywizji B Ligi Narodów.

Jak wytłumaczyć porażkę z zespołem, który niedawno ograliście w Warszawie 6:0?

Takie 0:0 pewnie przy większej kontroli można było dowieźć w tym spotkaniu. W drugiej połowie zaczęło brakować nam zbierania długich piłek. Błędy, które popełniliśmy, spowodowały, że Rumuni strzelili pierwszą bramkę. Później kolejny nasz błąd i kolejna bramka... Za dużo było tych błędów. Szkoda, bo to był mecz na remis, choć być może w końcówce udałoby się nam wykorzystać jakąś sytuację i strzelić bramkę.

W pierwszej części nie oddaliście celnego strzału. Dlaczego?

To był mecz z małą liczbą strzałów. Rumuni chcieli grać na napastnika, zbierać drugie piłki i coś kreować. My też staraliśmy się go kontrolować, ale druga połowa nie ułożyła się po naszej myśli. Brak odbioru drugiej piłki, sprowadzenia jej do ziemi, a potem rozegrania spowodował, że strzelali nam bramki.

Dlaczego jest tak źle z naszą reprezentacją?

Trener to analizuje i wie, gdzie tkwi problem. Mam nadzieję, że dzięki dobrze wyciągniętym wnioskom wygramy ostatni mecz ze Szwecją prezentując się dobrze w obu połowach. Wierzę, że przed swoją publicznością będziemy o wiele lepsi i mocniejsi niż w Bukareszcie.



FOT. GRZEGORZ WAJDA - BUKARESZT

Spuszczona głowa kapitana mówi w zasadzie wszystko: tak źle z reprezentacją Polski nie było od dawna. Mamy zespół w rozsypce

Co wymaga najszybszej poprawy?

Nie ma jednego elementu. Mecz z Rumunią nie był przez nas rozgrywany tak dobrze jak oczekiwaliśmy. Gospodarzom dobrze wychodziło przejście z obrony do ataku, tak samo jak zbieranie długich piłek. Chyba trzeba więc zacząć od tego.

Trudno się będzie zmobilizować na Szwecję?

Z nimi było nam ostatnio nie po drodze, czas na rewanż za dwie porażki. Mamy motywację, żeby pokazać dobry futbol, na tyle dużą by skutecznie powalczyć o komplet punktów we Wrocławiu. Nie ma co tragizować, myśleć za dużo o naszej sytuacji w tabeli w Lidze Narodów. Musimy zagrać dużo lepiej i skuteczniej niż w Bukareszcie.

eprasa.pl 02fa9cb6db

PIŁKA NOŻNA

Szwecja pokonała Bośnię i Hercegowinę i jest pewna awansu do dywizji A Ligi Narodów

Jacek Kmiecik

W drugim meczu grupy 4 dywizji B Szwecja pokonała Bośnię i Hercegowinę 3:2, zapewniając sobie pierwsze miejsce w tabeli i bezpośredni awans do dywizji A Ligi Narodów. BiH będzie walczyć o dywizję A w barażu.

Szwecja wygrała z Bośnią i Hercegowiną 3:2 w meczu, który niespodziewanie stał się dramatyczny, choć Szwecja do przerwy prowadziła 3:0.

Pierwsza połowa była długą szwedzką imprezą. Daniel Svensson strzelił swojego pierwszego gola w reprezentacji, a Viktor Gyökeres wykorzystał dwa rzuty karne, ustanawiając tym samym rekord Ligi Narodów w liczbie strzelonych goli w ośmiu kolejnych meczach.

W drugiej połowie bramki dla Bośni i Hercegowiny zdobył Szwedo-Bośniak Armin Gigović, ale po stracie drugiego gola w 62. minucie, zdobytego przez obrońcę Atalanty Bergamo Seada Kolasinacia, Szwedzi twardo bronili przewagi jednego gola przez ostatnie pół godziny.

Niebiesko-Żółci kilka razy zadrżeli przed remisem, ale szczęśliwie „dowieźli" zwycięstwo do ostatniego gwiazdka.

Nie mniej ważnym momentem była sytuacja, gdy bramkarz Viktor Johansson wyciągnął rękę i obronił kluczową sytuację na pięć minut przed końcem regulaminowego czasu gry.

Na kolejkę przed końcem rozgrywek Szwecja zapewniła sobie już zwycięstwo w grupie i awans do dywizji A. Wtorkowy mecz z Polską dla Szwecji nie będzie miał znaczenia.

– To krok w dobrym kierunku – pozwolenie na grę w dywizji A. To oczywiste, że wszyscy powinni być z tego dumni i szczęśliwi – ocenił kapitan drużyny Victor Nilsson Lindelöf.

– To była dobra jesień w Lidze Narodów. Osiągnęliśmy cel, który sobie wyznaczyliśmy – dodał Gyökeres.

– To fantastyczne. Musimy mierzyć się z najlepszymi, bo wtedy człowiek bardziej przyzwyczaja się do poziomu i go rozumie – stwierdził Dejan Kulusevski.

Bośnia i Hercegowina jest pewna gry w barażach o dywizję A i mecz z Rumunią nic nie zmieni.

LIGA NARODÓW – DYWIZJA B

Szwecja – Bośnia i Hercegowina 3:2 (Svensson 5, Gyökeres 11 karny, 45+2 karny – Gigović 48, Kolasinać 62)

1. Szwecja	5	13	10-5
2. Bośnia i Hercegowina	5	8	8-6
3. Polska	5	4	8-6
4. Rumunia	5	3	8-19

Najbliższe mecze: wtorek, 17.11: Polska – Szwecja (20.45), Bośnia i Hercegowina – Rumunia (20.45).

KADRA SZWECJI

Bramkarze: Viktor Johansson (Stoke City, Anglia, 17A/0), Noel Toernqvist (AC Monza, 0A), Jacob Widell Zetterstroem (Derby County, Anglia, 5A/0);



FOT. AFP/EAST NEWS

Najskuteczniejszy zawodnik reprezentacji Szwecji, Viktor Gyökeres, strzelił Bośni i Hercegowinie dwa gole z rzutów karnych

obrońcy: Genesis Antwi (RC Strasbourg, 0A), Felix Beijmo (FC Kopenhaga, 2A/0), Hjalmar Ekdal (14A/0), Gabriel Gudmundsson (Leeds United, 32A/0), Gustaf Lagerbielke (SC Braga, Portugalia, 16A/2), Victor Lindelöf (Aston Villa, 85A/3), Eric Smith (FC Sankt Pauli, Niemcy, 4A/0), Elliot Stroud (Hull City, Anglia, 7A/0), Daniel Svensson (Borussia Dortmund, 20A/1);
pomocnicy: Yasin Ayari (Brighton & Howe Albion, 28A/6), Anthony Elanga (Newcastle United, 35A/8), Jesper Karlström (Udinese Calcio, 31A/0), Dejan Kulusevski (Tottenham Hotspur, 46A/5), Hugo Larsson (FC Fulham 16A/0), Sebastian Nanasi (RC Strasbourg, 15A/3), Alieu Njie (AC Fiorentina, 0A), Patrik Walemark (Lech Poznań, 2A/0), Besfort Zeneli (Royale Union Saint-Gilloise, 13A/0), Benjamin Nygren (Celtic Glasgow, 18A/4);
napastnicy: Viktor Gyökeres (Arsenal Londyn, 42A/27), Alexander Bernhardsson (VfL Wolfsburg, 18A/0), Alexander Isak (Liverpool FC, 64A/19).

PIŁKA NOŻNA

W cieniu reprezentacji Polski walczy elita Ligi Narodów: upokorzona Portugalia bez Cristiano, bramkowy show Holandii, rekord Kane'a

Bartosz Głąb

W cieniu reprezentacji Polski w Dywizji B Ligi Narodów w elicie trwa walka na całego o awans do ćwierćfinału. Kilka drużyn już zapewniło sobie awans, ale komplet uczestników fazy pucharowej poznamy dopiero we wtorkowy wieczór.

Teraz już wiemy na pewno, że reprezentacja Polski nie wróci do Dywizji A, gdzie rywalizują ze sobą największe europejskie potęgi. Biało-Czerwonym pozostaje walka o utrzymanie w Dywizji B.



FOT. EPA/PAP

Portugalia bez swojego byłego już kapitana Cristiano Ronaldo doznała upokarzającej porażki 1:4 na Estadio Municipal w Bradze z Danią

Portugalia już bez Cristiano rozbita przez Danię

My skupmy się jednak na elicie, bo tam dzieje się naprawdę dużo! W sobotni wieczór mająca na swoim koncie do tej pory komplet punktów Portugalia niespodziewanie została rozbita w Bradze przez Danię aż 1:4. Dla Portugalczyków był to pierwszy mecz po zakończeniu kariery w reprezentacji przez Cristiano Ronaldo, który w ciągu 23 lat rozegrał w kadrze 234 spotkania i strzelił 146 goli.

– Trudno przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz widzieliśmy tak słabo spisujących się naszych zawodników – podsumowało lizbońskie radio TSF, także wskazując na brak dotychczasowego kapitana.

Portugalczycy upamiętnili dotychczasowego kapitana, wychodząc na mecz z Danią w koszulkach z numerem 7, z którym występował pochodzący z Madery piłkarz. Kibice rozwiesili na trybunach impo-nujący transparent: „Dziękujemy, kapitanie".

Pod koniec pierwszej połowy Pierre-Emile Hojbjerg z Olympique Marsylia strzelił na 1:0 z rzutu karnego. Później napastnik Napoli Rasmus Hojlund zanotował dublet, a na 4:0 podwyższył Joachim Andersen z Fulham. W doliczonym czasie honorową bramkę zdobył Bernardo Silva z Realu Madryt. Portugalia zakończyła serię 13 meczów o stawkę bez porażki u siebie, która rozpoczęła się jeszcze w 2022 roku.

Holandia bez porażki i wciąż bez pewnego awansu

Bardzo ciekawa sytuacja jest w grupie A2, gdzie Holandia mimo 3 zwycięstw i 2 remisów wciąż nie ma zapewnionego awansu do fazy pucharowej. „Oranje" w piątek rozbili w Amsterdamie Grecję aż 7:0.

Do tego momentu Greków śmiało można było nazywać rewelacją Ligi Narodów. W czterech wcześniejszych meczach zanotowali 2 zwycięstwa i 2 remisy, natomiast w tabeli ustępowali Holendrom jedynie mniejszą liczbą zdobytych bramek. Teraz będą walczyć o awans w korespondencyjnym pojedynku z Niemcami. W poniedziałek Grecja zagra w Volos z Serbią, natomiast Niemcy na Olympiastadion w Berlinie podejmą Holandię.

Rekordowy występ Kane'a w reprezentacji Anglii

Anglia zapewniła sobie w czwartek awans do ćwierćfinału Ligi Narodów. W 5. kolejce pokonała u siebie Chorwację 2:1. Rekordowy 126. występ w barwach Anglii zaliczył Harry Kane, który zdobył jedną bramkę. Przed spotkaniem Kane otrzymał od księcia Williama i dotychczasowego współrekordzisty Petera Shiltona pamiątkową koszulkę za swoim nazwiskiem i numerem 126. 33-letni napastnik Bayernu Monachium swoją 92. bramkę w kadrze zdobył w 64. minucie z rzutu karnego.

Zdobywca Złotej Piłki zrównał się z Robertem Lewandowskim liczbą strzelonych goli w narodowych barwach. Kane potrzebował na to 126 meczów, a Lewandowski 170. Obaj zajmują ex-aequo szóste miejsce w klasyfikacji wszech czasów.

Z Ligi A do ćwierćfinałów awansują nie tylko zwycięzcy grup, ale także drużyny z 2. miejsc. Do 1/4 finału przejdzie łącznie 8 reprezentacji (po 2 z każdej grupy Ligi A). W ćwierćfinałach zwycięzcy grup zagrają z drużynami z 2. miejsc z innych grup; mecze będą rozgrywane systemem mecz i rewanż, a zwycięzcy grup będą gospodarzami rewanżów. Rywalizacja zaplanowana jest na końcówkę marca. Turniej finałowy Ligi Narodów zaplanowano na pierwszą część czerwca 2027 r.

eprasa.pl 02fa9cb6db

TENIS

Bez Świątek i Kawy w kadrze na Puchar Zjednoczenia

Biało-Czerwoni w fazie grupowej turnieju drużyn mieszanych United Cup na początku stycznia zmierzą się z Niemcami i Szwajcarią

Jacek Kmiecik

Broniących trofeum w australijskim Pucharze Zjednoczenia drużyn mieszanych reprezentować będą między innymi Hubert Hurkacz i Maja Chwalińska. Nie zagra natomiast etatowa uczestniczka United Cup Iga Świątek.



FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Tym razem Iga Świątek nie wesprze reprezentacji Polski w United Cup

Skład reprezentacji Polski w prologu nowego sezonu w Peth i Sydney uzupełnią Maks Kaśnikowski, Jan Zieliński, Martyna Kubka i Katarzyna Piter. Tym razem w drużynie zabraknie Katarzyny Kawy, która w zeszłym roku tworzyła silny duet mieszany z Zielińskim.

Z gry w biało-czerwonych barwach w Pucharze Zjednoczenia zrezygnowała dziewiąta aktualnie tenisistka świata Iga Świątek, która dotychczas od początku United Cup reprezentowała Polskę. Hiszpański trener 25-letniej Raszynianki Francisco Roig ujawnił w zeszłym tygodniu, że mimo iż Iga przywiązuje wielką wagę do gry w narodowych barwach, w nadchodzącym sezonie zmieni harmonogram przygotowań do pierwszego szlema – Australian Open w Melbourne. Zamiast udziału w United Cup Świątek rozpocznie rok od turnieju WTA 500 w Brisbane.

Z występu w United Cup wypisały się też dwie inne czołowe polskie tenisistki – trzecia i czwarta rakieta naszego kraju, Magda Linette i Magdalena Fręch.

U grupowych rywali Biało-Czerwonych, w zespole Niemiec, zabraknie lidera światowego rankingu Alexandra Zvereva i 37. obecnie Jana-Lennarda Struffa. W składzie znaleźli się natomiast trzeci tenisista tego kraju, 67. na świecie Yannick Hanfmann, oraz najwyżej sklasyfikowana obecnie niemiecka singlistka Tamara Korpatsch (62. WTA).

Szwajcarię reprezentować będą z kolei tenisiści z najlepszą obecnie pozycją rankingową: Jerome Kym (143. ATP) i Belinda Bencic (20. WTA).

W Sydney i Perth do rywalizacji przystąpi 18 drużyn podzielonych na sześć grup po trzy zespoły. „Polska" grupa E, podobnie jak A i C, rywalizować będzie w Perth, pozostałe w Sydney. Zwycięzcy grup awansują do ćwierćfinałów. Turniej odbędzie się od 1 do 10 stycznia.

TENIS

Znamy plany Chwalińskiej na nowy sezon. Maja chce zostać liderką rankingu WTA

Zbigniew Czyż

W meczu reprezentacji Polski ze Szwecją we Włocławku w Billie Jean King Cup nie wystąpi Maja Chwalińska. Plany dwunastej aktualnie rakiety świata zdradza w rozmowie z Polska Press jej menedżer Piotr Szczypka.

Chwalińska w końcówce tego sezonu spisywała się bardzo dobrze, we Włocławku miała być liderką reprezentacji.

– Za mną bardzo intensywny sezon – zarówno pod względem fizycznym, jak i mentalnym. Wciąż zmagam się z problemami zdrowotnymi i choć sercem bardzo chciałabym być na korcie, rywalizować i reprezentować swój kraj, wiem, że na ten moment nie jestem jeszcze gotowa, by dać z siebie 100 procent – przekazała Chwalińska w mediach społecznościowych.

Chwalińska ma zagrać w Polsce 11 grudnia w Gdańsku. Wtedy zmierzy się z Lindą Noskovą w ramach LOTTO Tenis Show w Ergo Arenie. Ich spotkanie będzie główną atrakcją wieczoru. Będzie można sobie zrobić zdjęcie, wziąć autograf czy porozmawiać z tenisistką.

Polka, która zaliczyła najlepszy sezon w swojej karierze i zanotowała gigantyczny awans w światowym rankingu, cieszy się ogromnym zainteresowaniem nie tylko kibiców i mediów, ale też sponsorów.

– Zainteresowanie Mają jest ogromne, z czego się bardzo cieszymy. Pracujemy też nad tym codziennie. Obecnie ma podpisane umowy z dwoma sponsorami, których logo jest widoczne na jej stroju w trakcie spotkań. Rozmawiamy z innymi firmami, bo na to zasłużyła. Chcemy, aby była zabezpieczona finansowo na dłuższy czas – mówi nam Piotr Szczypka. I dodaje:

– Maja inwestuje w siebie, dużym plusem jest to, że może zabierać na turnieje swoich fizjoterapeutów, którzy wykonują świetną pracę, pozwalając jej następnego dnia stanąć do rywalizacji. Mecze są długie i wyczerpujące. Poza tym Maja ma już bardzo duży team, ten, który widać w boksie podczas meczów, ale też ten mniej widoczny. Dopływ gotówki może oczywiście ułatwić nam pracę, której jest bardzo dużo. Od strony sportowej Maja ma wszystko, czego potrzebuje. Od strony pozasportowej myślę, że jest tak samo – twierdzi Szczypka.

Na razie nie wiadomo jeszcze, gdzie Chwalińska zainauguruje występy w nowym sezonie.

– To będzie albo United Cup w Australii, zgłoszenia do tych zawodów jeszcze się nie zamknęły, albo to będzie turniej rangi 500 także w tym kraju na początku stycznia. Potem oczywiście występ w Australian Open – zdradza jej menedżer.

Celem Polki na nowy sezon będzie awans do elitarnej czołowej dziesiątki zestawienia, choć sama ma mieć znacznie większe ambicje. Chce zostać... liderką rankingu!

– Top dziesięć to jest już taki tenisowy raj. Na pewno będzie walczyć o awans do elitarnej dziesiątki. Myślę, że nie będzie sobie stawiać jakiejś dodatkowej presji, bo ona w ogóle do rankingów właściwie nie zagląda. I myślę, że to się nie zmieni. Dla niej najważniejszy jest każdy kolejny dzień, żeby był jak najlepiej przepracowany. Uważam jednak, że konsekwencją gry, jaką obecnie prezentuje będzie awans do dziesiątki rankingu WTA. Ma wszystkie do tego narzędzia. I możliwości – podsumował Szczypka.



FOT. EAST NEWS

Maja Chwalińska w 2026 roku zaliczyła najlepszy sezon w karierze

TENIS

Polska w BJKC bez najlepszych zawodniczek

Paweł Wiśniewski

Puchar Billie Jean King (pod tą nazwą od 2000 roku, wcześniej Fed Cup/Puchar Federacji) to najważniejsze drużynowe rozgrywki tenisowe kobiet na świecie, stanowiące odpowiednik męskiego Pucharu Davisa. Odbywają się od 63 lat...



FOT. JAKUB PIKULIK/POLSKA PRESS

Doświadczona Katarzyna Kawa spróbuje powstrzymać Szwedki

Rywalizacja wyłania najlepszą żeńską drużynę świata. Niestety, jest mało przejrzysta i klarowna, stąd niektórzy mogą mieć problem z właściwą interpretacją zasad.

Reprezentacja Polski po raz kolejny przystępuje do Billie Jean King Cup. Aby wziąć udział w przyszłorocznych kwalifikacjach, najpierw musi pokonać Szwedki. W tej fazie zagrają również m.in. Amerykanki (przeciwko Węgierkom), Kanadyjki (kontra Brazylijki) czy Japonki (rywalkami Argentynki).

Dopiero siedmiu zwycięzców fazy play off, awansuje do grona 14 najlepszych drużyn, a przegrani zagrają w barażach.

Owe czternaście zespołów narodowych (połowa rozstawionych) powalczy w kwietniu przyszłego roku o siedem miejsc w finale, który uzupełni gospodarz, czyli – jak to się dzieje od 2025 roku – Chiny.

Dla reprezentacji Polski edycja 2027 będzie niezwykle trudna. Wiemy już, że ze Szwecją (20-21 listopada we Włocławku) zagramy bez Igi Świątek, Mai Chwalińskiej, Magdaleny Fręch i Magdy Linette!!!

Moim zdaniem to skandal i kompromitacja całego naszego środowiska tenisowego. W turniejach komercyjnych panie mogą grać, ale już w imprezach o charakterze „społecznym" – nie. Wstyd.

Na razie nie wiadomo, czy ktoś zastąpi Chwalińską. W kadrze pozostają: Katarzyna Kawa, Martyna Kubka, Linda Klimovicova i Weronika Falkowska, a zmian można dokonać do 19 listopada br.

Szwedzi do udziału w meczu zgłosili Kajsę Rinaldo Persson, Caijsę Hennemann, Lisę Zaar, Leę Nilsson i Lineę Bajraliu.

Polki nawet bez Świątek, Chwalińskiej, Fręch i Linette będą faworytkami.

eprasa.pl 02fa9cb6db

KOSZYKÓWKA

Lekko nie będzie. Wygrana z Izraelem. Porażka z Czarnogórą. Czas na niesamowite Turczynki

Paweł Wiśniewski

W 2. kolejce grupy I decydującego etapu eliminacji mistrzostw Europy koszykarek 2027 reprezentacja Polski przegrała w Podgoricy z Czarnogórą 56:61 (14:15, 16:19, 13:13, 13:14). We wtorek zmierzymy się z niepokonaną Turcję.

To był czwarty mecz Polek z drużyną z Bałkanów o punkty i trzeci przegrany przez Biało-Czerwone.

Przez większą część spotkania ekipa z Czarnogóry miała przewagę i choć nasze koszykarki walczyły – szczególnie w czwartej kwarcie – to nie zdołały odwrócić losów meczu.

Polki rozpoczęły identyczną „piątką" jak zwycięskie spotkanie w Rydze z Izraelem (75:64) z kapitan Julią Niemojewską, Klaudią Gertchen, Klaudią Wnorowską, Weroniką Telengą i Stephanie Mavungą.

Niemojewska zdobyła pierwsze punkty, ale w kolejnych akcjach to podopieczne trenerki Jeleny Skerović, znanej doskonale nad Wisłą, pracującej obecnie w SKK Polonii Warszawa, miały przewagę.

Grały szybko i dość łatwo przedostawały się pod polski kosz. Prowadziły 9:4 i 11:6. Akcje Mavungi pod koniec tej kwarty, w tym rzut za trzy punkty, pozwoliły odrobić straty. Po 10 minutach było tylko 15:14 dla Czarnogóry.

Polki objęły minimalne prowadzenie 16:15 i remisowały 19:19 po rzucie za trzy punkty Anny Makurat, ale potem nastąpił zły okres gry podopiecznych trenera Karola Kowalewskiego.

Rywalki zdobyły 10 punktów z rzędu i prowadziły 29:19 w 15. minucie, a potem po akcjach trzypunktowych Levković nawet 31:19. Czarnogórzanki bardzo zagęszczały obronę w strefie pod koszem, utrudniając manewry polskim wysokim zawodniczkom.

Dobre akcje w obronie Niemojewskiej pozwoliły na kontry kończone przez Telengę i dystans do rywalek zmalał. Po 20 minutach Czarnogóra prowadziła 34:30.

W drugiej części pojedynku Polki zagrały z większą determinacją, a największe zaangażowanie wykazywała Anna Makurat, na co dzień występująca w euroligowym Kibirkstisie Wilno.

To po jej akcjach oraz rzucie wolnym Mavungi był remis 41:41 i 43:43, ale po 30 minutach zespół trenerki Skerović prowadził 47:43.

Czwartą część rzutem zza linii 6,75 metra rozpoczęła jednak z bohaterek meczu w Rydze z Izraelem, Malina Piasecka, i Czarnogóra wygrywała tylko 47:46.

Polki nie potrafiły jednak pójść za ciosem i mimo lepszej walki pod bronioną tablicą, cały czas musiały gonić rywalki, które miały kilka punktów przewagi czy to po sprytnych akcjach wchodzących pod kosz zawodniczek obwodowych, czy to po rzutach naturalizowanej Amerykanki Tai Davis-Reimer.



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI/POLSKA PRESS

Mimo wymagającego początku sezonu, rozgrywająca Anna Makurat zdążyła wrócić do pełnienia ważnej roli w reprezentacji Polski

Makurat miała niewystarczające wsparcie od koleżanek, nie licząc walecznej Mavungi i drugiej podkoszowej Telengi (zakończyła spotkanie z double-double: 11 pkt i 11 zbiórek). Zabrakło Biało-Czerwonym agresji, choć właśnie taka gra mogłaby przynieść korzyści, gdyż rywalki grały praktycznie szóstką zawodniczek.

Polki przegrały minimalnie walkę pod tablicami 38:39 i miały gorszą skuteczność za trzy punkty – trafiły tylko pięć z 25 prób oraz rzutów wolnych (5 z 10). Popełniły też 17 strat.

Najwięcej punktów dla nas zdobyła Anna Makurat – 16, a dla rywalek 31-letnia Taya Davis-Reimer – również 16 pkt.

SPORT

Cztery dziewczyny zrobiły całą robotę. Niestety, reprezentacja Polski coraz słabsza. Przed nami Jordania, Iran, Ekwador, Kolumbia, Singapur i Cypr...

Paweł Wiśniewski

Za nami 4. edycja Młodzieżowych Igrzysk Olimpijskich (Youth Olympic Games – limit wiekowy 17 lat), których organizacji podjął się Dakar. Po raz pierwszy w historii impreza pod egidą MKOl odbyła się na kontynencie afrykańskim.

W stolicy Senegalu, Dakarze, reprezentacja Polski zdobyła trzy medale: złoty i dwa brązowe.

Na najwyższym stopniu podium stanęły nasze koszykarki grające w formule 3x3 – Nicola Brzeska (rocznik 2009), Lena Olejniczak (zdobyła dwa decydujące punkty w ostatnich sekundach meczu – 2009), Stefania Onuorah (2010) i Gabriela Stefanowicz (2009) – które w niezwykle emocjonującym finale pokonały Chinki 12:11.

– To być może był punkt przełomowy, była to końcówka spotkania, każdy punkt w tym momencie był na wagę zwycięstwa – wyjaśnia Lena Olejniczak, na co dzień zawodniczka Art Building Ślęza II Wrocław. – Cieszę się, że wpadło – nieważne, w jakim stylu. Nie miałam chwili zwątpienia,



FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Złote panie Młodzieżowych Igrzysk Olimpijskich – od lewej: Stefania Onuorah, Lena Olejniczak, Nicola Brzeska i Gabriela Stefanowicz

że my tego meczu nie wygramy. Byłyśmy bardzo zmotywowane i cały czas powtarzałyśmy sobie, doceniając klasę rywala, że sama nazwa „Chiny" nie gra na boisku. Uważam, że w 100 procentach zasłużyłyśmy na wygraną.

– Najbardziej zapamiętam z turnieju dźwięk syreny kończącej finał i jak ze łzami w oczach rzuciłyśmy się wszystkie na siebie z tymi wszystkimi emocjami, potem nie pamiętam już niczego – wspomina Stefania Onuorah, uczennica SMS PZKosz Łomianki.

– Udało nam się zbudować świetny zespół, dogadywałyśmy się na parkiecie i poza nim i to nam pomagało – wymienia przyczyny sukcesu zawodniczka Enea AZS Politechnika II Poznań Gabriela Stefanowicz. – W finale nie stresowałam się, wiedziałam, że będzie dobrze, i po prostu grałyśmy swoje.

– Prowadziłyśmy jednym punktem, miałyśmy piłkę po błędzie Chinek, był ogromny stres podczas podawania Chince na checkballu, żeby uciec od faulu – twierdzi Nicola Brzeska, również zawodniczka SMS PZKosz Łomianki. – Tuż po zakończeniu meczu emocje nam puściły i byłyśmy szczęśliwe, wiedząc, że złoty medal jest już nasz. Najwspanialszym momentem był ten, gdy mogłyśmy zaśpiewać hymn Polski. To był nasz hymn, który usłyszał cały Senegal, śpiewałyśmy go z dumą!

W finale biegu na dystansie 100 metrów (+1,7 m/s) Szymon Dołęga (SKS Feniks Siedlce, rocznik 2009) był trzeci z czasem 10,61 s. Wygrał Nigeryjczyk Gift Bright (z rekordem życiowym 10,28 s) przed Chińczykiem Zhang Hangyu – 10,57 s.

W konkursie skoku o tyczce pań Lena Kaczkowska (SKLA Sopot, rocznik 2010), która pokonała wysokość 3,60 m, wywalczyła – ex aequo z Japonką Kiyorą Matsuurą – medal brązowy. Taki sam wynik uzyskała również Greczynka Lorena Marina Chatzileleka, ale wystarczyło to jedynie do zajęcia 5. miejsca.

Mistrzynią została Francuzka Julie Bourgis, która pokonała wysokość 4,20 m, jako jedyna przekraczając granicę 4 metrów. Wicemistrzynią została Węgierka Csenge Zsuzsanna Zsombor (3,80 m). Łącznie startowało 7 zawodniczek, a dwie nie zaliczyły żadnej wysokości.

W klasyfikacji medalowej Młodzieżowych Igrzysk Olimpijskich w Dakarze reprezentacja Polski uplasowała się na odległym 53. miejscu (na 99 sklasyfikowanych krajów).

Bezkonkurencyjne okazały się Chiny (18 złotych, 8 srebrnych, 7 brązowych), które wyprzedziły Japonię (11-8-9) i... Rosję (8-4-2). W zawodach uczestniczyli również młodzi sportowcy z Białorusi (0-0-3)...

Największymi gwiazdami zawodów byli pływacy – Japonka Mana Ishikawa, która sięgnęła po cztery złote medale, i Egipcjanin Zain Hesham – trzy krążki z najcenniejszego kruszcu.

W 16-letniej historii letnich edycji Youth Olympic Games Polacy wywalczyli już 19 medali, w tym 7 złotych (m.in. tenisiści Kamil Majchrzak – 2014 r., gra pojedyncza, Jan Zieliński – 2014, gra mieszana, i Iga Świątek – 2018, gra podwójna), jeden srebrny i 11 brązowych (m.in. Majchrzak – 2014, gra mieszana).

eprasa.pl 02fa9cb6db

ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE

Udany początek sezonu polskich panczenistów. Brąz Dąbrowskiej

Zbigniew Czyż

Udany początek sezonu zaliczyli polscy panczeniści podczas pierwszych zawodów Pucharu Świata 2026/27 w Pekinie. Najlepszy wynik uzyskała Wiktoria Dąbrowska, zdobywając brązowy medal na dystansie 1000 metrów.



FOT. PZŁS

Wiktoria Dąbrowska zdobyła swój pierwszy medal w zawodach PŚ

Pierwsze starty w nowym sezonie zawsze niosą ze sobą wątpliwości, czy udało się zbudować na tyle wysoką formę, aby nawiązać równorzędną rywalizację z resztą stawki. Z tego zadania świetnie wywiązali się Polacy, którzy już na otwarciu sezonu wywalczyli o czołowe lokaty.

Największą wygraną zawodów w Chinach spośród naszych kadrowiczów była Wiktoria Dąbrowska. Polka, która rozpoczyna karierę wśród seniorek, w piątkowym starcie na 1000 m zdobyła swój pierwszy medal Pucharu Świata, zajmując trzecie miejsce. W rywalizacji na jeden kilometr Dąbrowska, aktualna brązowa medalistka MŚ juniorek, uzyskała czas 1.15,85. Zwyciężyła Holenderka Angel Daleman – 1.14,07. Drugie miejsce zajęła inna młoda zawodniczka Kristina Szumiekowa z Kazachstanu – 1.15,64. Na 13. pozycji uplasowała się Karolina Bosiek – 1.17,77.

W sobotę Dąbrowska zajęła czwarte miejsce w biegu na 500 metrów. Tego dnia w dywizji A startowały też inne reprezentantki Polski – trzynasta była Martyna Baran (38.65), a dziewiętnasta Karolina Bosiek (39.20). Niezłe występy Polek na 500 m odnotowaliśmy też w niedzielę. Trzeci raz w górnej połowie stawki w ciągu tego weekendu zameldowała się Dąbrowska. Nasza sprinterka, startująca w ostatniej parze z Kok, uzyskała dziesiąty czas (38.39), a Baran, tak jak w sobotę, była trzynasta (38.74) w grupie A.

Stabilny, wysoki poziom zaprezentowali liderzy męskiej kadry sprintu. Dwukrotnie w czołówce, ze stratą zaledwie 0,16 sekundy do podium zameldował się Damian Żurek. 27-latek, mógł żałować zwłaszcza końcówki sobotniego biegu, gdyż zachwianie na ostatnim łuku prawdopodobnie kosztowało go medalową pozycję i dało siódmą lokatę. Na czternastym miejscu uplasował się z kolei drugi z Polaków, Marek Kania (35.09). W niedzielę Żurek był jedenasty (35.01), a Kania dziewiętnasty (35.29).

Niezły występ na 1500 m w PŚ zaliczył Władimir Semirunnij. Wicemistrz Europy w tej konkurencji, specjalizujący się w długich dystansach, w sobotniej rywalizacji uzyskał siódmy czas w dywizji A (1:45.82). W elicie wśród kobiet zaprezentowała się też Karolina Bosiek, zajmując osiemnaste miejsce (2:00.37). Świetne występy na 1500 m w grupie B zaliczyli inni Polacy. Trzeci czas i tym samym awans do elity uzyskał Mateusz Śliwka (1:46.82), zaś szósta w stawce była Emilia Zawisza (1:59.55), wyprzedzając m.in. dziesiątą Zofię Braun (2:00.84).

– Władek na pewno liczył na więcej w piątek na 5000 m, ale wiemy, na czym dalej się skupić przed PŚ w Obihiro. Na 1500 m zrobił trzy równe rundy, z których jest znany. Na pewno nie będziemy się skupiać na jeszcze lepszym otwarciu i pierwszych 300 m, bo nie chcemy stracić jego wytrzymałości pod kątem długich dystansów, którą konsekwentnie budowaliśmy przez ostatnie lata – powiedział Roland Cieślak, trener reprezentacji Polski w łyżwiarstwie szybkim, odpowiedzialny za średnio- i długodystansowców.

– Emilka Zawisza w ten weekend czuła się świetnie, była bojowo nastawiona i znakomicie przejechała dystans pod względem technicznym. Wiadomo, że Karolinę i Zosię stać na jeszcze lepsze wyniki, dlatego traktujemy to jako przetarcie przed kolejnymi zawodami. Mateusz przejechał blisko „życiówek" zarówno na 1500, jak i na 5000 m – dodał Cieślak.

Sporo działo się w biegach drużynowych z udziałem naszych kadrowiczów. Semirunnij wraz ze Śliwką i Szymonem Kwapiszem, startujący w grupie B, uplasowali się na drugim miejscu za Rosjanami (3:44.16). W biegu drużynowym wśród elity wystartowały z kolei reprezentantki Polski. Biało-Czerwone w składzie Braun, Bosiek i Zawisza pokonały w pierwszej parze Włoszki i z czasem 3:05.68 zajęły szóste miejsce.

– Nasze drużyny tak naprawdę jechały pierwszy raz w tych składach, do tego Szymek Kwapisz i Emilia Zawisza debiutowali w PŚ, a spisali się świetnie. W drużynie kobiet potrzeba więcej zgrania, ale na tle innych drużyn widać potencjał do ścigania z najlepszymi w tym sezonie – podsumował Cieślak.

Polscy panczeniści pozostają na Dalekim Wschodzie. W tym tygodniu będą kontynuować swoje starty w zawodach Pucharu Świata. Kolejne zawody tego cyklu odbędą się w japońskim Obihiro (20-22 listopada).

SKOKI NARCIARSKIE

Inauguracja Pucharu Świata z udziałem ośmiorga Polaków

Jacek Kmiecik

Sześciu Polaków i dwie Polki w dniach 20-22 listopada wystąpią w inaugurujących sezon zimowy skoków narciarskich konkursach Pucharu Świata w norweskim Lillehammer.

W inauguracyjnych zawodach sezonu 2026/27 na Lysgårdsbakken w Lillehamer zaprezentują się Kacper Tomasiak, Paweł Wąsek, Klemens Joniak, Dawid Kubacki, Maciej Kot, Jakub Wolny oraz Anna Twardosz i Kamila Karpiel.

– Decydowała aktualna forma sportowa zawodników. Jestem przekonany, że skład został wybrany sprawiedliwie na podstawie dwóch sprawdzianów w Zakopanem i Wiśle. O ostatnie dwa miejsca walczyło czterech zawodników. Na ten moment wybraliśmy najlepszą szóstkę – wyjaśnił trener kadry A Maciej Maciusiak cytowany w komunikacie Polskiego Związku Narciarskiego.

Skład został wyłoniony również na podstawie wyników Letniej Grand Prix oraz mistrzostw Polski w Zakopanem. 17 października na Wielkiej Kroki triumfował Tomasiak przed Wąskiem i Joniakiem. Wśród kobiet najlepsza była Twardosz, a za nią uplasowała się Karpiel, która wznowiła karierę po trzech latach.

W kadrze nie znalazł się 39-letni Piotr Żyła, który latem był w słabszej formie.

Obecnie najlepszym polskim skoczkiem jest 19-letni Kacper Tomasiak, który w zeszłym sezonie w Predazzo zdobył dwa srebrne i brązowy medal zimowych igrzysk olimpijskich, a w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata był 23.

W piątek, 20 listopada, w Lillehammer odbędzie się konkurs drużyn mieszanych. Na sobotę i niedzielę, 21-22 listopada, zaplanowano konkursy indywidualne.

Zawody Pucharu Świata w Polsce odbędą się 5-6 grudnia w Wiśle i 16-17 stycznia w Zakopanem.

Sezon Pucharu Świata w skokach narciarskich zakończy się 21 marca 2027 roku tradycyjnie w słoweńskiej Planicy.

KRÓTKO

Biegi narciarskie

Obiecujące starty Polaków w Munio

Reprezentacja Polski w biegach narciarskich rozpoczeła sezon podczas zawodów FIS w fińskim Muonio. Bardzo dobrze spisały się Biało-Czerwone w niedzielnym biegu na 10 km stylem dowolnym. Eliza Rucka-Michałek zajęła 4. miejsce, Monika Skinder była 7., a Magdalena Kobielusz uplasowała się na 10. lokacie. Godny odnotowania jest też awans do półfinału Kamila Burego w sprincie na 1,2 km stylem klasycznym. W nim zajął 5. miejsce i odpadł z dalszej rywalizacji.

Narciarstwo alpejskie

Falstart Biało-Czerwonych

Aniela Sawicka i Michał Jasiczek nie ukończyli inauguracyjnych zawodów w slalomie alpejskiego Pucharu Świata w fińskim Levi. Polacy odpadli z dalszej rywalizacji już po pierwszym przejeździe. Do drugiego awansowała czołowa trzydziestka. Kolejne zawody odbędą się 21-22 listopada w austriackim Gurgl.

Amp futbol

Wygrana na inaugurację mistrzostw świata

Reprezentacja Polski w amp futbolu wygrała swój pierwszy mecz z Kostaryką 2:1 w mistrzostwach świata w meksykańskim San Juan de los Lagos. Bramki dla naszej kadry zdobyli Kamil Grygiel i Łukasz Mazurowski.
Polacy w niedzielę mieli mierzyć się z Iranem, ale wygrali to spotkanie walkowerem, reprezentacja tego kraju nie dotarła na turniej.
W poniedziałek zagrają z Anglią. Turniej w Meksyku potrwa od 13 do 22 listopada. Uczestniczą w nim 24 drużyny.

Piłka nożna

Zwycięstwo kadry Brzęczka

Piłkarska reprezentacja Polski do lat 21 wygrała z Norwegią 2:0 w towarzyskim spotkaniu rozegranym w San Pedro del Pinatar w Hiszpanii, gdzie przygotowuje się do przyszłorocznych mistrzostw Europy, które na przełomie czerwca i lipca odbędą się w Albanii i Serbii.
Bramki dla Biało-Czerwonych prowadzonych przez Jerzego Brzęczka zdobyli Tomasz Pieńko i Kacper Duda.



FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

eprasa.pl 02fa9cb6db

S24 **sportowy24.pl**

sport

ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE

Reprezentanci Polski udanie rozpoczęli sezon Pucharu Świata. Dobry trening procentuje
str. 23

TENIS



FOT. ADAM JANKOWSKI

Maja Chwalińska ma ambitne plany na rok 2027. Celem jest atak na fotel liderki rankingu!
str. 21

SPORT OLIMPIJSKI

Za nami 4. edycja Youth Olympic Games. Polscy sportowcy wrócili z Senegalu z trzema medalami. Po złoto sięgnęły koszykarki
str. 22

Marcel Reguła, który w Bukareszcie zdobył honorowego gola, jest wielką nadzieją naszej kadry. Ta lepsza przyszłość rodzi się bólach...



FOT. GRZEGORZ WAJDA - BUKARESZT

Piłkarska reprezentacja Polski znów zawiodła. Tym razem miejsce w szeregu Biało-Czerwonym wskazał outsider naszej grupy, Rumunia... *str. 19*

eprasa.pl 02fa9cb6db